

# Posner, Stanisław

---

## Autobiografia St. Krzemińskiego w listach do Stanisława Posnera : testament Powstania Narodowego

---

Przegląd Historyczny 29/2, 347-381

---

1930-1931

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

# MATERJAŁY

1. STANISŁAW POSNER

## AUTOBIOGRAFJA ST. KRZEMIŃSKIEGO W LISTACH DO STANISŁAWA POSNERA <sup>1)</sup>.

### TESTAMENT POWSTANIA NARODOWEGO.

Godzi się w pięćdziesiątą rocznicę powstania wspomnienia słowo poświęcić Stanisławowi Krzemińskiemu, zmarłemu dnia 30 listopada r.z. w Warszawie — uczestnikowi tego powstania. Nietylko był Krzemiński uczestnikiem tego ruchu, ale i członkiem rządu: był dyrektorem prasy insurekcyjnej, redaktorem gazety urzędowej. Słaby, wątły fizycznie, skromny, cichy, nieśmiały — był doradcą odważnym, nie wahającym się ani przed celem, ani przed środkami. Pisał odezwy, pisał artykuły w *Niepodległości*. Uratowany dzięki przytomności chłopca, który jemu i kolegom jego usługiwał, przeżył wielką tragedję człowieka, który duchem rozpalonym do ekstazy Boga oglądał, a któremu Los kazał następnie wrócić między tłum ludzki, między niewolników, o których Pismo głosi, że z puszczy prowadzącej ku mirażom ziemi obiecanej tęsknili do garnków żebraczych, wypełnionych ciepłą strawą — sytej niewoli. Niewielu wytrzymuje takie nagłe i beznadziejne przejście od boskich wyżyn poczynania i tworzenia do szarej rzeczywistości

---

<sup>1)</sup> W końcu 1908 r. i na początku r. 1909 St. Krzemiński w szeregu listów do St. Posnera, opisał swój udział w Powstaniu 1863 r. oraz podał swoją biografję. Listy te miały — w przekonaniu St. Krzemińskiego — posłużyć za materiał do przyszłej jego biografji, miały być przez S. Posnera ogłoszone z wyjątkiem jednego ustępu, który pozwalał ogłosić dopiero po śmierci swojej i osoby, o której pisał. — Po śmierci Krzemińskiego (20. XI. 1912) St. Posner listy powyższe przygotował do druku. Istnieją dwie kopje tej korespondencji w papierach po zmarłym 8. V. 1930 Posnerze, wykończone całkowicie. — Z materiału tego Posner korzystał dwukrotnie: przemawiając 24. I. 1913 w Salle de Géogra-

bytowania i wegetowania. Inni wychodzą nadłamani, z myślą poranioną, z wiarą przygasłą, ze sceptycznym uśmiechem na ustach.

Krzemiński przeboleł, przechorował tragiczne załamanie się narodowych nadziei — ale ostał się. Pozostał nietylko świadek żywy, świadectwo ucieleśnione, żywe duchem, myślą, sercem — wiekuistej prawdy powstania. Pozostał — jako ogniwo Testamentu Powstania. Pozostał takim, na przestrzeni lat pięćdziesięciu, przez lat czterdzieści pracując czynnie tam wszędzie, gdzie mógł pracować, gdzie był potrzebny, gdzie go wołano. Długie lata był samotny. Nie potrzebowała go praca Organiczna. Nie potrzebowali go ci, co ustami Świętochowskich mówili o ludziach o szerokich gardłach i wąskich piersiach, nawołujących do zdobywania niepodległości narodowej. My, którzyśmy po okresie Pracy Organicznej na zagonie służby narodowej stanęli, ludzie mojego pokolenia odszukali starzejącego się już ciałem, duchem — wiecznie młodego dziennikarza. On nasz był — jak my jego byliśmy. Różniliśmy się już wiele, synowie innych czasów w Polsce, nietylko demokraci, ale i socjaliści, wychowani na Marksie, na nowych metodach poznania i walki. Klóciliśmy się też mocno, w szczególności dawniej, kiedy byliśmy bardzo młodzi, umieliśmy mniej niż mało, ignorancję zastępując odwagą a brak doświadczenia, nieumiejętność myślenia samodzielnie zastępując gotowymi odpowiedziami, napływającymi tajemniczą drogą konspiracji wprost z Berlina. Ale te klótnie — to była tylko piana: spodem płynął nurt mocny i czysty a ten był jeden. Ponad głowami ojców naszych, zwolenników i poetów pracy organicznej, ręce nasze wznosiły się ku Krzemińskiemu. Dwadzieścia lat go znałem. Na moim osobistym rozwoju położył błogosławieństwo najczystszej, jaką znałem, duszy. Dla mnie, dla przyjaciół moich Krzemiński był nie tylko ojcem, przyjacielem, spowiednikiem, doradcą, był oraz symbolem. To było dla nas Powstanie Narodowe. To był żywy tegoż powstania testament. Dlatego tu mówię o nim dzisiaj, mając mówić o Testamencie Powstania Narodowego.

Gdy ogarnąć całokształt tego życia jednym spojrzeniem, odbierzemy wrażenie przede wszystkim czegoś pięknego. Niedarmo Asnyk poświęcił Krzemińskiemu najpiękniejsze swoje sonety, a wśród nich jeden nazwany

---

pie w Paryżu o Testamencie powstania listopadowego oraz na obchodzie styczniowym 1918 r. Uniwersytetu ludowego, w Paryżu w odczycie p. t. *Jeden z przywódców powstania, Stanisław Krzemiński na tle jego nieznannej korespondencji*. — Odczyt pierwszy, całkowicie wykończony, zachował się w spuściznie po Posnerze. Korespondencję Krzemińskiego z Posnerem, poprzedzoną tym odczytem, wydaje się obecnie *in extenso*, uzupełniając ją tylko przy kilku nazwiskach niezbędnych notami biograficznymi.

*Wieczystem Pięknem.* Równa linja służby społecznej pod hasłem najszczytniejszej i ofiarnej służby narodowej — oto jest żywot Krzemińskiego. W tym żywocie, jak w żywotach niewielu, niestety, ludzi publicznych, nie było upadków, nie było czynów wątpliwych, które nie we wszystkich budzić by umiały szacunek, nie było nigdy wahań; myśl i czyn były zawsze sobie odpowiednie, od rozdźwięków wolne, albowiem z jednego wypływały źródła: z najlepszej woli, wypełnionej miłością Ojczyzny i Człowieka. W tym organizmie duchowym jeden tylko rządził pierwiastek, pod jednym wszystko przelamywało się kątem, jednostajne echo budziły zjawiska z zewnętrznego napływające światła. Czy jako z czynnym politykiem z okresu ponadobłocznej młodości, czy jako z publicystą i dziennikarzem, działaczem społecznym, redaktorem, doradcą młodych współpracowników, z tym samym mamy wciąż do czynienia człowiekiem.

Jednostajna była szata jego myśli i myśl każdego artykułu, od największych do najdrobniejszych, zawsze ta sama: czysta, szlachetna. Od tej całej działalności, wypełniającej pięćdziesiąt bitych lat — bije dziwne światło. Krzemiński przeszedł życie białą okrytą szatą. Zawsze białą, czysto, olśniewająco białą. Białą szatą celebriansa, kiedy wznosi się na wyżyny epiecznego patosu politycznego, kiedy bywał kaznodzieją społecznym, kiedy nawoływał do cnoty, kiedy żądał od literatury, ażeby szła na czele, budziła cnotę i organizowała ją. Szatę jednostajną, z jednej utkaną przędzy, tak dobrze przystającą do człowieka, nie tandetny szył krawiec. W tym oto człowieku nie gościła nigdy myśl o sobie, nigdy nie klóciły się z ofiarnością, z altruizmem drobne ambicje osobiste. On — wyrozumiały dla wszystkich — nie rozumiał nigdy sporów literackich, klótni szkół i klubów, współzawodnictwa przewodców: wszak dla wszystkich jest miejsce w ogródcu służby publicznej, w onej olbrzymiej kooperatywie, jaką jest Ojczyzna, gdy sługa Narodu i Ludzkości o dobru publicznem chciałby myśleć i czynić je, naród umacniać, aby żył wiecznie, człowieka napełniać treścią najszlachetniejszą, aby idei platońskiej mógł być odbiciem ..

Gdyby zebrać to wszystko, co Krzemiński w ciągu czterdziestu lat działalności literackiej wypisał, powstałaby wielka biblioteka, kilkaset tomów licząca. Niepodpisane, albo anagramem w dziesięciu pismach znaczone artykuły zaginęły w odmęcie naszego życia. Wcieliły się one do ogólnego dorobku myślowego i uczuciowego naszego pokolenia. Sami o tem nie wiedząc, poddawaliśmy się wpływowi odżywczym tej umoralniającej działalności człowieka, który o czemkolwiek pisał — o polityce, czy o teatrze, albo o literaturze, więcej pytał o ideę, niż o wartość sceniczną utworu, więcej o moralność, niż o dreszcz i gest literacki, a najczęściej i przede wszystkim pytał o sumienie. Pytał nie raz i nie sto

razy w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu, świadek tyłu rozgromów i takiego pohańbienia moralności publicznej, świadek pogromu Francji, upadku Komuny, rozrostu Prus, w Niemcy przeobrażonych, triumfów Bismarcka i jego naśladowców, Hurków, Apuchtinów, przeróżnych Aleksandrów i Mikołajów, świadek powodzenia hakatystów i czarnej seciny, latarnik samotny, oświetlający swoim szlachetnym kagankiem odmęty wszelkich upadków i pohańbień, lajdactw i oszustw, *res gestas* kuglarzy politycznych i zwyczajnych kondotjerów Ile razy ta dusza płakała, ile razy łamało się nieszczęsne pióro polskiego publicysty, które musiało milczeć, gdy krzyżeć pragnęło, musiało prawdę ukrywać, musiało grzeszyć przeciwko nakazowi sumienia publicystycznego i przeciwko szczerości! W tym to czasie, w okresie powszechnej na wszechświatowej arenie orgji niecnoty, powoływał Krzemiński — publicysta cień moralisty angielskiego Tomasza Carlyle'a i pisywał niezliczone *Listy Warszawskie*, w dziewięciu książkach zawierające dzieje ówczesnej drogi krzyżowej narodu polskiego. Pisał też zbiorowe dzieje dwudziestopięciolecia (od upadku powstania) w cennej pracy, której nie powinno brakować w żadnej bibliotece polskiej, w żadnym sercu polskiem. Kto wie o tych pracach? Wiedziało kilkunastu najbliższych w czasie, gdy je tworzył Krzemiński — któż wie dzisiaj?

Piękny, ofiarny żywot wiernego doradcy i stróża sumienia publicznego, zórawia czujnego, co nie spał a ostrzegał, a zachęcał, a podnosił, a pocieszał, co wierzył do teńnienia ostatniego, że krzywdy muszą być powetowane i odkupione, że Ludzkość opamięta się, że dzień jutrzejszy zgotuje triumf poranionemu i pohańbionemu Prawu Moralnemu.

Pragnę mówić do was dzisiaj, ile można, słowami Krzemińskiego. Niechaj to będzie najskromniejszy hołd Jego pracy, Jego sercu oddany. Pragnę z pism Jego wydobyć te słowa, które składają się na Testament Powstania Narodowego.

1. „Wobec Europy i świata całego było powstanie styczniowe kołataniem do wrót życia międzynarodowego, manifestem zbrojnym przeciwko wszystkim ukazom traktatowym, przeciwko ponurym dniom Maciejowic, rzeziom Pragi, szturmom Warszawy, przeciwko pełzającemu po świecie potworowi faktu dokonanego.”

2. „Wszelki ruch wydobycia się z pod jarzma świadczy o życiu i sile organicznej narodu i jest jakby normalnym stanem pokolenia, podejmującego oręż wypadły z rąk tego, które je ostatnie w walce poprzedziło. Bo walka z wrogiem nieustanna być musi. Naród zdrowy znajduje się w ciągłym powstaniu przeciwko temu, co jego żywotność tamuje.” W ciągłym powstaniu żyje myśl człowieka, tęskniąca do wolności, w ciągłym powstaniu żyje klasa robotnicza, tęskniąca do wolności od jarzma najgorszego, jakie być może, od jarzma bezimiennego kapitału.

3. „W porządku życia międzynarodowego powstania przerywają przedawnienie, biegnące od upadku państwowego do nicości narodowej. I naród sam o sobie i świat by o nim zapomniał, gdyby po długim spokoju niewoli nie nadeiwały takie nawałnice, po których matki płaczą a pokolenia drżą”. Może to straszne, jak straszną jest walka społeczna, jak straszne każde większe starcie z kapitałem, jak strasznym strajk wielkich organizacyj robotniczych, jak strasznym lokaut — ale taką jest tragiczność życia dziejowego.

4. „Wszelka niewola upadła. Chlebem, jakim niewolnikom żywić się wolno, naród nie wyżyje, nie wytrwa, nie doczeka zwiastowania i świtu lepszego dnia ludzkości. Nienawidząc ruchów zbrojnych niepodobna utrzymać w sobie ideału politycznego, a bez takiego znowu ideału niepodobna być narodem. Jest on koroną wszystkich ideałów narcdowych, kluczem w sklepieniu narodowości. Gdyby nam nasz ideał polityczny wydarto, spadlibyśmy tam, gdzie dziś widzimy pobratymczych Łużyczan.”

5. „Jaknajwięcej światła i jaknajwięcej ludu w tem przyszłem państwie polskiem — takim było marzenie tych wszystkich ludzi, którzy w r. 1862 wchodzili w tajemniczą puszcę przyszłości. Powstanie rodziło się z wielkiej szkoły demokratycznej, której zasady urobili pokolenia emigracyjne osiadłe we Francji pomiędzy 1830 a 1848 rokiem, które wyraz znalazły w rewolucji 48 roku. Wolny lud pracujący w wclnym narodzie, w wolnem państwie polskiem — głęsił ci wszyscy, którzy powstanie zapoczątkowywali, tworzyli, którzy w niem zginęli albo kośmi swemi usieli, ubielili boleściwe drogi syberyjskie. I to nie było hasło demagogiczne. To była głęboka wiara tych ludzi. Dla powstańca niedopuszczalną była niewola, poddaństwo, pańszczyzna. Powstanie narodowe pierwszym odruchem swoim ziemię chłopu nadało — i rząd zwycięski nie mógł nic innego zrobić, jak ten odruch w ustawę wcielić. Przyznał to Milutin. Zapomniany a może i nieznany to fakt, że R a f a ł K r a j e w s k i, jeden z głównych działaczy 1863 r., kolega Traugutta, stracony 5 sierpnia 1864 r. na mogilniku polskim pod cytadelą warszawską, na kilka dni przed śmiercią w ostatniem pożegnaniu do matki i sióstr pisał: „Jak widzę, to w kraju dobrze się dzieje. Niech tam gazety krakowskie jak chcą tak nazywają reformę włościańską, niech nowe ustawy nazywają socjalizmem... Jest rzeczą niezawodną, że poczynając od dołu postępek jest prędzsy niż od góry. To wreszcie najskuteczniejszy i jedyny sposób dla Polski, gdzie ludność włościańska jest tak przemożna; tu idea nie da się zamknąć w kaście... A niech się tam kto chce ludzi, to, co zrobiono, jest *dopiero początkiem tego, co się dalej zrobić musi. Już pędę dany, już się ta miljonowa masa nie zatrzyma w pędzie...*”

Prorocze bywają widzenia przedzgonne, w obliczu śmierci męczeńskiej!

6. Obudziłem — woła do nas w tę rocznicę Powstania 63 roku — obudziłem siły moralne narodu, drzemiące w stanie cynetycznym, utajonym; obudziłem gotowość do czynu i poświęcenia „zaroił się naród. Rozlała się olbrzymia rzeka wypadków, co przyjęła w siebie potoki i strumienie z terytorjalnie najdalszych i najgłębszych warstw ludności. Jest faktem, że pomimo ciemnoty mas w szeregach nieszczęśliwego, nieuzbrojonego, zgoła nieprzygotowanego wojska partyzanckiego znaleźli się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych i rzemieślniczych, studenci, szlachta, robotnicy, żydzi, Niemcy”.

7. Jarzma swojego kazałem nienawidzić — mówi duch Powstania — tę nienawiść organizowałem i tę nienawiść powszechną rozpalilem, podniosłem ku wyżynom i na wyżynach przemieniła się, przeobraziła się w poczucie jedności narodowej. Tego zjednoczenia słońcu kazałem się rozpaść ponad klasami społecznymi. Patrz: pod tem słońcem zagasły na chwilę zawiści, zazdrości, egoizmy osobiste, poziome namiętności, walka klas społecznych, cały naród uciekający z więzienia niewoli na zielone łąki wolności, umilkły kłótnie, swary, scholastycy zaprzestali destrukcyjnej pracy rozłamów i poszukiwania bezwzględnie czystych programów. Stopiły się zawiści, nienawiści, wyłączość i różnicowania — w jedną srebrną rzekę wyzwolenia. Boć przezemnie — mówi Powstanie — wołał głos Dantona, nauczyciela nieprzedawnionej Rewolucji, który wrzawą obłąkaną konwencji zagłuszał piorunem pytania: *toutes nos altercations tuent — elles un Prussien? azali od wszystkich kłótni naszych zginie choć jeden zaborca?*

O chwilo błogosławiona, która przemienić jesteś zdolna drobną szarą, poziomą duszę człowieka, duszę, o której mówił Epiktet, że mała jest i trupa w sobie nosi, która nie w monologu filozofa albo poety, ale w żywej rzeczywistości życia jawi ją nam szlachetną, czystą, rozumną najdalszej przyszłości godną, z marzenia milenisty jak gdyby usnutą — a mimo to żywą!

Trwaj chwilo, w której nędzny, opuszczony człowiek, atom w przestworzu świata — rozmawia z Wiecznością, z Pięknem, z Cnotą.

Iżby ziściły się słowa, które pieściły nieraz usta Tułacza polskiego, od Adama aż do Krzemińskiego, słowa Lamennais:

*Dors, o ma Pologne, dors en paix dans ce qu'ils appellent ta tombe. Moi — je sais — que c'est ton berceau.*

Odpoczywaj, o Polsko, w tem, co zaborcy grobem twoim nazywają. Ja wiem, że to nie mogiła twoja, jeno kolebka, w której rośniesz, siły swoje skupiasz, mężniejesz, dojrzewasz do nowego, do własnego, na prawdzie i sprawiedliwości opartego, życia!

## KORESPONDENCJA ST. KRZEMIŃSKIEGO Z ST. POSNEREM

## 1. Dobry, łaskawy na mnie, Panie!

Podpis pod artykułem podniecił Pana, nie rzecz. Pod uroczą tęczą przeszłości, w której była i idea czysta i ofiara bezinteresowna, zjawiała się w wyobraźni żywej, przed sercem czystym i ofiarnym, postać moja w dotworzonej przez oboje treści, mięszu duchowym i całej istocie. Niestety, takim nie byłem, jakim, Dobry Panie, widzisz mię w samym sobie, w zwierciadle, odbijającym świat.

Byłem istotą bierną, słabowitą, do jakiego 9-go, 10-go r. ż., zostającą na etacie śmierci. To wyrobiło we mnie raczej zdolność do przyjmowania wrażeń niż wytwarzania czynów. Prowadziłem już jako młodzieniaszek życie raczej kontemplacyjne niż czynne. Nie miałbym nic w sobie, gdyby nie twarz i nie głos ojca mojego, który mnie w dzień wieszania Dobrycza Stefana <sup>1)</sup> (pod szubienicą ulaskawionego) wziął za rękę, podprowadził w stronę cytadeli, kazał sobie patrzeć w oczy, wyciągnął ramię ku polu śmierci i opowiedział, co się na niem stało. Było to już pod wieczór w Mokotowie, gdzie rodzice moi mieli posiadłość, jeszcze, choć w przeróbce, dochowaną. Stąd moja myśl o ojczyźnie i późniejsze marzenia, cierpienie wiele, nieco znojów.

Ale nie myśl, Dobry Panie, żebym temi znojami zdobywał sobie stanowisko, wybijał się na wierzch jakąś zasługą: nie, wszystko przychodziło do mnie bez żadnego z mojej strony czynu. Bierność była moją cechą, z usposobienia kontemplacyjnego wynikającą. I przeciągnęło się to w moje życie daleko, za daleko. I dlatego — nie zrobiłem rzeczywiście nic, coby po mnie zostało. Były i inne przyczyny i powody, i pokusy, i złudzenia. Takie na mnie z wyżyny starości sprawia wrażenie nizina mojego żywota. To Panu z całą szczerością piszę, bo znając życzliwość Pańską dla siebie, uważam, że winieniem Panu prawdę, a milczenie w wielu wypadkach życia ludzkiego jest kłamstwem. Przychylnie odbicie się istnienia, czy istności mojej w zwierciadle duszy Pańskiej — przypisuję tylko powyższej zdolności zapalania się i podnoszenia rzeczywistości, która jest, do ideału, który być powinien. Za uczucie ku takiemu uszlachetnianiu bytów poza sobą wiodące — jakże bym nie miał gorąco

<sup>1)</sup> Dobrycz Stefan, kupiec Warszawski, po ukończeniu nauki w 2-m gimnazjum i w instytucie agronomicznym w r. 1839 jeździł na studia do Saksonji, w r. 1843 do Wiednia i Paryża, gdzie przez Malinowskiego wchodzi do Tow. Demokratycznego, w r. 1844 powraca do Warszawy, jest w stosunkach z Wł. Dzwonkowskim i przez Ponińskiego z Poznańskiem w r. 1845, następnie z Karolem Ruprechtem i Bronisławem Dąbrowskim, zamieszany w spiszek Pant. Potockiego, wyrokiem 1/13 marca 1846 skazany na śmierć, ulaskawiony 4/16 marca, Lat 26. Arch. akt dawn. Kom. Śledcza 411. Kanc. Nam. 9830 cz. 2.



dziękować? Poglaskany egoizm sprzymierza się tu i z uczuciem równowagi w stosunku i z tą szczerą zawsze życzliwością, z tą, śmiem powiedzieć przyjaźnią, którą dla Drogiego, łaskawego na mnie Pana, żywię.

Nie wiem jakie są zamiary Pańskie, ale że Pan je powziął, wierzę, iż złego w nich nawet na ziarnko maku być nie może. Nie sądzę, aby ujawnienie, raz dokonane, miało być utrzymanem w martwocie jednej ubiegłej chwili ze względów jakoby bezpieczeństwa; a gdyby nawet... to mam lat już prawie 69, niedaleką metę i poza obrębem tego, co jeszcze piórem zrobić pragnę, żadnego zgoła interesu w życiu, w wolności osobistej, jedynej, jaką jeszcze żyjątko ludzkie, człowiecze na tym punkcie globu, w tej chwili dziejów mieć może. Zostawiam, Drogiemu Panu, całkowitą swobodę zużytkowania faktów, zajętych pod zamiar. Uważam to sobie za zaszczyt zupełnie niezasłużony i z góry dziękuję za pocziwą wolę, którą tylko życzliwość dla mnie w ruch wprowadzić mogła.

Z prawdziwem poważaniem i szczerem przyjaznem uczuciem

*Stanisław Krzemiński.*

*Warszawa, dnia 26 września, 1908 r.*

2. *Warszawa, dn. 31 października 1908 roku.*

Drogi, Kochany Panie!

Odebrawszy nowy dowód serdecznego zajęcia się mą przeszłością, dopuściłem się ciężkiego przewinienia i przeciwko tkwiącemu w indywidualności Pańskiej, żywemu w Niej prawu swojego ja i przeciwko zasadom towarzyskości, która nas przedewszystkiem zespalać musi, abyśmy nie czuli się w stanie dzikości, gdzie człowiek dla człowieka był jawnie wilkiem, a życie samo skutkiem i objawem siły, nie przyciągania, ale odpychania. Wystąpiłem przed Panem Kochanym jako dziki: na głos serdeczny odwróciłem się, na ciekawość, którą zadrgnęła przyjaźń, odpowiedziałem milczeniem, które wydać może z siebie tylko obojętność. Miałeś, Kochany Panie, przykrość — z głębi sumienia za nią przypraszam i niechaj mi zapamiętana nie będzie. Żal mój jest tem głębszy, im bardziej indywidualność Pańska dobrocią w r o d z o n ą — linią prostą i jasną, którą Pan masz w sobie, zyskała sobie prawo do przyciągania ludzi. Złe się stało, ale ponieważ nie jest zewnętrznem, zmaterjalizowanym, dobrocią Pańską odstać się może. Proszę serdecznie o zapomnienie i niech mi kochany Pan da pewność, że niema w Panu już zapamiętania.

Nadzwyczaj mi jest trudno oderwać się od pracy umysłowej, raz przedsięwziętej, a drobnej, która odrazu wykonaną być może, być powinna z istoty przedmiotu, być musi — z konieczności zewnętrznej. Miałem właśnie teraz taką pracę nad Kilińskim, Kitowiczem, Konarskim Stanisławem.

„Encyklopedja” nie czeka i czas nie przystaje w drodze i Krzywicki pędzi, za co mu wydawnictwo nasze wdzięcznem tylko być może. Nad czem się siedzi, nad tem się myśli; jest to ciągły strumień troski i poszukiwania i roboty, którego w górę odwrócić niepodobna, a do założenia stawideł potrzeba większej niż moja siły. Tak więc przy pewnej, niedobrej dla starców, formie działania z namiętnością — stało się przestępstwo względem Szanownego, Kochanego Pana. Żywię nadzieję, pocieszam się myślą, że mnie Człowiek dobry — Oboje z Siostrą, jesteście Państwo ludźmi dobrymi — nie ześle na osiedlenie w Sybirskie lody obojętności i niepamięci, i przystępuję do rzeczy.

Po klęsce zapadłem w bierność i smutek. Oderwany, odtracony, wydarty marzeniu, nie przestałem zwracać się ku niemu, już przetworzonemu w ból. Chodziłem na egzekucje. Na jednej z nich w grudniu 1863 r. bez opamiętania się zdjąłem przed ciałem, symbolem życia i idei, zdjąłem kapelusz. Nie uczynili tego inni: żołnierz z oddziału otaczającego wskazał mnie oficerowi, mówiąc coś, czego nie dosłyszałem. Oficer zwrócił się ku mnie, skinął lekko, dając tem znak, bym nakrył głowę: wtedy dopiero poczułem niebezpieczeństwo i usлуchałem. Zdaje mi się, że ten oficer musiał być Polakiem, takie wrażenie odniosłem w danej chwili i takie mam jeszcze dziś. Powiedz Pan, czy to nie było istotne niebezpieczeństwo, czy ten sam los, który uczułem, nie był przeznaczonym dla mnie, przez sam tylko fakt stwierdzenia tożsamości osoby. Oficerowi temu zawdzięczam życie. Czemuż go nie znałem? Kto on był? a może jeszcze i jest? Czy Polak, czy może ucziwy Rosjanin, okropnością męki narodowej wzruszony? Ręka mi drży, gdy to piszę, sam po 45 latach jeszcze wzruszeniu ulegam. I to moje nieszczęście: nigdy niczego zprzedmiotować, urzeczować nie zdołam, co było podmiotem, duszą, życiem.

Gasnący ruch przysłał ku mnie fale. W lutym marcu 1864 r. otrzymałem wezwanie do dr. Kaczkowskiego<sup>2)</sup> (imienia już nie pamiętam). Oznajmił mi, że organizacja już rozwiązana, że o dalszem działaniu myśleć już niema co, że ulec potrzeba. I ja to samo wiedziałem już wtedy, kiedy Traugutt odmawiał swą szlachetną, ale tragiczną modlitwę zbrojności. Na owych odwiedzinach uderzyły mnie jakaś tajemniczość w słowach. Nie zacierała ona głównej tezy, ale dawała poznać, że są jednak usiłowania dalsze. Istotnie, był to Bronisław Brzeziński<sup>3)</sup>, który chciał jeszcze podjąć ster strzaskany. Dusza szlachetna, zapalna, zamknięta w sobie, uskrzydłona, lecąca ponad ziemią. Urzędnik Komisji Skarbu. On to

<sup>2)</sup> Może Karol lub raczej jego syn Erazm.

<sup>3)</sup> Brzeziński Bronisław, ur. 10.I. 1833, adjunkt miernictwa w komisji skarbu usunięty ze służby 30 list. 1864, po Traugucie naczelnik rządu narodowego, uciekł według świadectw urzędowych podobno 28 list. 1864. Arch. akt dawn. Tymcz. Kom. Śled. 2497. Audyt. połowy 2086.

istotnie, od uwięzienia Waszkowskiego <sup>4)</sup>, sam jeden prowadził tę straszliwą kampanję niemocy przeciwko przeznaczeniu, a prowadził razem z Kurzyną, który wówczas już wydostał się był z pod Mierosławskiego. Blisko w r. 1861 z Brzezińskim będąc, w tych dniach konania nigdy się nie zetknąłem. Nie umien sobie do dziś dnia wytłumaczyć znaczenia kroku Kaczkowskiego, gdy mnie do siebie wzywał, ani też stosunku Brzezińskiego do tego, co z ust Kaczkowskiego usłyszałem. Dopiero w kwietniu 1865 r. Brzeziński zwrócił się do mnie, po ostatecznem przekonaniu się o daremności wysiłków, z prawdziwym heroizmem podejmowanych przez 1½ roku blisko, a może i całkowicie, gdyż pracował jeszcze razem z Waszkowskim podczas t. zw. dyktatury Traugutta. Zeszliśmy się u Prezesa Trybunału, Tytusa Polczyckiego <sup>5)</sup>, ożenionego z Wojciechowską, w domu Młokosiewicza, albo Gallego, na wprost, lub nieco dalej Reformatów przy Senatorskiej. Brzeziński wyjeżdżał do Ameryki jakby w zamroku umysłowym; wydał mi się zbitym zupełnie przez los, zmiażdżonym. Nie samo tylko pożegnanie się ze mną było celem wezwania: mając pieczęci rządowe, chciał je komu zostawić, wybrał mnie. Spisaliśmy protokół, który on zabrał z sobą, protokół opatrzony moim podpisem. Jeżeli go nie zniszczył sam w wędrówce swej z kraju w świat daleki, to musiał go komuś przekazać; może się ta pamiątka jeszcze gdzie kryje... Sam człowiek zniknął z oczu zupełnie — nietylko mnie, ale i ludziom, którzy jeszcze zostali. Nie mógł wpaść w otchłań, boćby się nim pochwalono; nie wypłynął wcale na wierzch w emigracji, bo musiano by o nim wiedzieć; jeżeli wyjechał do Ameryki, to musiał w niej bez śladu zginąć. Duch czysty, miał łatwość ulotnienia się przed materjałym wzrokiem. Wspominam go z podniesieniem myśli ku nieskończoności. Tak, Kochany Panie, człowiek jest znikomą, chwilową jętką, ale przez niego przechodzą promienie nieskończoności.

Pieczęci u siebie chować byłoby szaleństwem. Trwało to tylko tydzień. Potem, po dreszczach rodziny, matki i sióstr, z którymi razem mieszkąłem, po własnym niepokoju, oddałem depozyt Ottonowi Fleckowi, litografowi i synowi litografa, (zmarłemu w roku bieżącym na wio-

<sup>4)</sup> Waszkowski Aleksander, ostatni naczelnik miasta Warszawy, student Szkoły Głównej, aresztowany 19.XII. 1864, skazany 15.II. 1865, zawieszony 17.II. 1865. H. Cederbaum *Powstanie styczniowe* 1917, 253—4.

<sup>5)</sup> Polczycki, lub Pulczycki Tytus, ur. 21.I. 1816, ukończył Płockie gimnazjum i wstąpił na służbę do kancelarji Kom. rząd. Spraw. 7.XII. 1832, posuwając się stale wyżej, p. o. sędziego warsz. trybunału Cywil. 8.III. 1848, prezesa wydz. hipotecz. 25.V. 1853, prokurator Warsz. tryb. cyw. 26.IV. 1861, p.o. prezesa 30.XII. 1862, od 5.V. 1865 zatwierdzony prezesem, członek Warsz. Rząd. Senatu departamentów 22.VI. 1867, prezes Sądu Apelac. 15.III. 1873, zwolniony 1.VII. 1876.

snej), Niemcowi z pochodzenia, tak świeżo unarodowionemu, że ojciec jego po polsku mówił raczej bąkając niż mówiąc, a syn był już poświęcającym się Polakiem. I oto potęga, oto czar polskości, oto dzielność tej żywej, żywych przetwarzającej formy, którą wytworzyła szlachta polska jeszcze za dni, za wieków niepodległości, uzupełniając ją jeszcze, wzmacniając formą sprzysiężenia narodowego, które było ciąglem, nieprzerwanem, niezmordowanem żadną męką. Naprawdę, możecie ją wszyscy, i powinniście, wy młodzi, uczcić w tym majestacie jej przeszłości.

Fleck miał litografię na Nowo-Senatorskiej, między hotelem Rzymskim a jakimś nowym Sportowym, czy Kawalerskim, jednopiętrowym. Tyły posesji wychodziły na wąski przesmyk podwórza teatralnego poza hotelem Rzymskim już biec zaczynającym. Tam pieczęci w ziemi zakopane spoczęły. Rewizja w gmachu teatralnym, rewizje częstsze w litografji, już po wywiezieniu owego starego, ledwie po polsku bąkającego Flecka pod Ural patrioty polskiego Juljana Flecka <sup>6)</sup> (spokrewniony z Szustrami, stąd mój stosunek) wzruszyły ten spoczynek szczątków już ostatnich; odkopano je w chwili naglej i wrzucono w piec. Nie wiedziałem o tem naprzód, ale dowiedziawszy się po czynie za zło go nie wziąłem. Nic innego do zrobienia nie było. Więcej później!

Ściskam Kochanego Pana serdecznie. Pp. Garfeinowej  
ukłony — obojgu

*St. Krzemiński.*

### 3. Kochany Panie!

Odbicia z kliszy mam i jutro dn. 21 grudnia wyślę je do p. Dra Garfeina, ale co do odpisów jakaś we mnie moc bezwiedna okazuje się oporną. Nic z tego, com napisał, a były to rzeczy małe, nie zadowolalo mnie, jak tylko pokazało się w druku: myśl była jakby rozszarpana rozwiana, rozwodniona, bezkształtna — nie taka, z jaką przystępowałem do pisania. Niema w niej śladów naukowości, są tylko momenta stalsze lub niklejsze odczuwania świata i pragnienia, żeby był lepszym niż jest, bez wyraźnego jednak, dobitnego wskazania w każdym poszczególnym przedmiocie, na który się umysł zwrócił, zasad naczelných, twórczych, przyszłość w sobie niosących. Niema też w nich ani ognia, co grzeje i pali, ani ciepła, darzącego miłem uczuciem w mroźnym realizmie

<sup>6)</sup> Fleck Juliusz, urodzony w Saksonji, w Warszawie od r. 1837, naprzód u Szustra, potem od 1849 właściciel własnej litografji, odbija wezwania i ulotki w okresie demonstracyj, aresztowany 17/29 września 1861, wyrokiem sądu polowego 17.II/1.III. 1862 skazany na pozbawienie praw i 10 lat ciężkich robót, zesłany do katorgi, w wieku lat 49.

życia. I co więcej jeszcze, niema patryjotyzmu. Wszystko jest mojem własnem, tylko przez własne odczucie zdania wypowiedzanego jako prawda, jej samej zapewne niema, a jeśli jest w swoistem dostojęństwie przedmiotowości, to zrzadka i zaledwie w najogólniejszych rębach. We wszystkim było to, co jest w mem wnętrzu: wrażliwość i zarazem bierność. Nie zatykałem nigdy sztandarów, nie chwytalem w dłoń proporców, nie rzucałem rękawicy do walki — chyba w owej walce z pozytywistami, o której Kochany Pan wspomina, a działo się to w „*Kłosach*” w r. 1872, jakoś od początku roku. I w tej jeszcze imprezie byłem słaby, obawiałem się skrzywdzić, doбираłem słów łagodnych, nad którymi czuwała cenzura, aby się zbyt nie rozhasały. Dzięki cenzurze było chmur i mgieł dużo, ale za chmurami nie było właściwego boju i zwycięstwa. Dziś wszakże jeszcze odczuwam to zagłębienie się w przedmiot, które mi wówczas dawało rozkosz pisarską. Wówczas — kiedy Pana jeszcze na świecie nie było, kiedy żaden jeszcze platoński deszcz dusz nie wyrzucił Pana na ziemię. Rozpoczynając, w jakim 1869 r., swoje pisanie prozą — z wierszem pożegnałem się w 1864 r. — kochałem dwie rzeczy jako przedmioty myślenia: człowieka i piękno. Człowieka pojmowałem czysto idealistycznie i w zespoleniu obu miłości jako utwór piękna. Teraz dopiero to widzieć zaczynam. Ciało było tylko koniecznym substratem dla duszy; *minimum* ciała odczuwającego się w życiu, *maximum* ducha, umysłowego, moralnego, od żądz z ciała idących i formy ogólnego istnienia wytwarzających oderwanego bytu. Wypowiedziałem najwięcej tych myśli — zgola nie naukowych, w wydanej już pierwszej części mych *Zarysów literackich*, druga w szufladzie od lat 13, i oczywiście, na nieskończone już wieki, więc dla nicości. (Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia. Nowa zasada wychowania. Z etyki starożytnych. Modlitwa Hektora). Zbudzić, wychować człowieka we wnętrznego — temat religiji, a nie socjologii, etyki praktycznej, prawa — ukształtować go w piękny utwór jakiegos czysto duchowego, duchowością dyszącego demiurga, taka była moja ówczesna — i przyznaję się ze skruchą: taka jest jeszcze dzisiejsza moja żądza umysłowa. Ująłem ją w wyrażenie: pięknotwórstwo moralne. Ponieważ taka moralność jest cała zamknięta w jednostce, jednostkę więc tylko widziałem na świecie; społeczeństwo z całym swym nieskończonym wirem, z otchłanią swych potrzeb, swych żądz, swych fałszów dla mnie nie istniało, a o narodzie milczałem, myśl w sobie tłumilem, aby jej nie obcinać, nie kaleczyć, nie znieprawiać przez ugodowe niejako, z jarzmem na karku puszczenie między ludzi. W głębi duszy on jeden tylko żył jako ogrom, poza nim istniało tylko indywiduum ludzkie, nie zwierzęcego, ale boskiego początku. Wierzyłem też w Boga — wyzwolonego zupełnie z pod kultu, z pod księdza, z pod dogmatu, I na tym jednak punkcie nie toczyłem walki. Taki Bóg był dla mnie zdobyczą niejako

statyczną, spokojnie, bez walki posiadaną. To dopomagało trwałości przekonania, że Kościoła panującego w Polsce szarpać nie wolno, gdyż Ignienie do niego ogólne, zwłaszcza Ignienie ludu polskiego, jest jednym ze składników narodowości polskiej, a wszelkie osłabienie wiary religijnej przy absolutyzmie najazdu musi być i osłabieniem samej narodowości, wskutek ciemnoty — prawie że w języku tylko, w mowie raczej i uczuciu religijnem rosnącej jako wielka siła, powszechna, skupiająca wszystkich. Nie przeszkadzało mi to jednak zżymać się na średniowieczną przemoc Kościoła, żyjącego w Papieżu, w Watykanie, w biskupach, duchowieństwie. Znalazszy sposobność, dałem ujście myślom w r. 1878 w *Dwóch myślicielach XVIII w.* (Bluszcz) — dostałem też ciężą srogie od *Przeglądu Katolickiego*, po których pani Ilnicka aż płakała, a moje dalsze współpracownictwo w „Bluszczu” stało się na chwilę wątpliwem. Byłbym fałszerzem, gdybym się Panu nie przyznał, że wtedy przebrał miarę: byłem więcej człowiekiem uniwersalnym niż Polakiem. Dla Woltera, obrońcy człowieka, znalazłem pochwałę, dla Woltera pochlebcy, podłego dworaka, chciwca i ślepego na narodowość, nawet samej Francji, niezdolnego do patriotyzmu, a urągającego wspólnie z Fryderykiem Polsce, nie znalazłem jednego słowa potępienia, które mimo cenzury paś było powinno. Dręczyła mnie ta myśl całe lat 10, aż wreszcie w r. 1888 zyskałem sposobność do wzięcia odwetu z samego siebie: zacząłem opracowywać *Dwadzieścia pięć lat*; w półtrzecia roku miałem je gotowe, a w rok po ich wydaniu (1892) zacząłem najulubieńszą po tej książce pracę swego życia: korespondencję do *Dziennika Poznańskiego* i do *N. Reformy*. Ciągnąłem ją przez lat blisko siedem i działalność tę uważałem za najwdzięczniejszą w życiu.

Bezwzględność moja w upędzaniu się za owym człowiekiem wewnętrznym była tak wielką, że wdarła się nawet do moich Przeglądów teatralnych w *Bluszczu*, do moich *Kobiet Shakespeare'a*, a nawet do późnej już wiązki myśli o postępie w książce dla Świętochowskiego. Powoli wszakże zacząłem dostrzegać na ziemi ten mechaniczny organizm, jakim jest społeczeństwo — utwór instynktów naturalnych, utwór, nie istota. Uderzył mnie jego ogrom, jego nie ujęta żadnym umysłem złożoność, jego od woli ludzkiej niezależna wieczystość, ale nie uderzyła samorodność wraz ze swem prawem do własnej centralizującej organizacji. Moment ten wcale dla mnie nie istniał, jak i dziś nie istnieje. Z powodu książki *Trepki* napisałem w r. 1884—5 *Przeciwko socjalizmowi*, gdzie zaradzenie walce międzycząsteczkowej i nędzy wskazałem w asocjacji kapitału i pracy i ogromnem, przez reasekurację całą ziemi ograniającem, ubezpieczeniu od strat w przemyśle. Lękałem się o indywiduum — rzeczywiste źródło i siłę i środków i całej cywilizacji, lękałem się o jego wolność, o prawa człowieka rzeczywiste, a nie papierowe, lękałem się

o narody, któreby organizacja socjalistyczna szybko znieść musiała, zwłaszcza te, które na obronę swoją nie posiadałyby własnych szzańców i twierdz, te zaś we własnym tylko państwie mieć można. Motywu interesu narodowego wypowiedzieć nie mogłem. Socjalistyczne dążenia, nurtowania, walki z podziemia wydały mi się eksperymentem niebezpiecznym. W dzisiejszym społecznieniu widziałem tylko rozwój instynktów naturalnych, dzieło samej natury w żądzy własności indywidualnej *in nuce*, złożone; a gdy żądza ta, wciąż się rozwijająca, nie pozwalała na przewrót, który musiałby pozostać tylko usiłowaniem przewrotu, widziałem w nim tylko walkę przeciwko naturze. Te przekonania są dziś jeszcze mojemu, a przybyło do nich jeszcze jedno: nowy byt ekonomiczny zwierzęcy, i nowy byt społeczny, duchowy — musiałyby się pojawiać jednocześnie na całej kuli ziemskiej, jeżeliby się utrzymać miały na najdrobniejszej choćby jej części. Rozpoczynający odrodzenie poszłyby tylko na dobrowolną ofiarę zupełnego zniszczenia i zagłady. W mniemaniu swoim zyskując świat odrodzony, właściwie mieliby w dłoni tylko czarnego motyla — żałobnych marzeń. Ta konieczność jednoczesności sama prowadzi do uznania możliwości ulepszeń tylko w rozwoju stopniowym, powolnym, danej już, wrosłej w ludzkość zasady, przy coraz większym wzmagananiu się czynników humanitarnych. Stopniowe dobro spełniać się może kohezją atomów wielkiej bryły, złagodnieniem i złagodzeniem człowieka-zwierzęcia, rozkrzewieniem się szacunku dla równego we wszystkich człowieczeństwa, zamiłowaniem rzetelnem wolności wszystkich dla wszystkich, przeobrażeniem się wreszcie życia zwierzęcego w umysłowe — niezbędnem, niewątpliwem, artykuł niezachwiany stanowiącem pierwiastku wielości, która go tłoczy i dostrzec nie pozwala. Socjalizm rewolucyjny przyczynia się tylko do wzmaganania ciemnych potęg ludzkości, potęg materialnych państwa, kapitału i mechaniczności w życiu — największem ze wszystkiego złem. Pod względem politycznym wyrządza on krzywdę dotkliwą, nieraz niepowetowaną — zwłaszcza narodom bezpaństwowym: osłabia, szarpie, rozrywa spójność narodową, myśl nurza we mgłach, w ukropie zamiarów i w lodach skutków. Dowodu rażącego dostarcza dzisiejszy — jeśli z większym prawem nie należałoby mówić o wczorajszym — ruch pseudo-rewolucyjny w Rosji, w którym socjalizm grał rolę trzeciego, godzącego i w przemoc siły i w żądę wolności politycznej — tu wbrew teoretycznym intencjom, i ostatecznie stał się odpowiedzialnym, jako uczestnik we wspólnie toczonych walce, nie tylko za jej niepowodzenie, ale i za rozkiełznanie się reakcji, która cofnie społeczeństwa, rządzone przez Rosję, do stanu gorszego niż był przed ruchami.

Takie są moje przekonania. Uczciwość sama nakazała mi się z nich wypowiadać. Spowiedź ta wpłynie zapewne na zamysł Kochanego Pana

i zdaje mi się, że wpłynąć powinna ze stanowiska ścisłej normy. Niezależnie od sympatycznego zasięgu, dochodzącego tak wysoko nad miarę rzeczywistej wartości społecznej i indywidualności samej i jej pracy, występuje pytanie: czy jest jaki cel w uwiadomianiu o człowieku, tak daleko odskakującym od normy? Sądzę, że odpowiedź może być tylko jedna: Niema!

Wracając do tego, com jeszcze pisał ponad rzeczy już wskazane, widzę, że niema w tym dużym dość materjałe dla pamięci, bo nie dla krytyki, która ani razu nie zwróciła się ku niemu,— nic, coby od zapomnienia uratowanem być zasługiwało. Mówię dziś szczerze, z wyżyny lat i tego okrzesańia, jakiego od czasu występów na estradzie nabyłem. Jeżelibym miłość swą własną chciał sfruktyfikować, to nastreczyłoby się prócz wyżej wspomnianego Przeciwno jeszcze to, co było w *Mysli Ogniwa*, co w książce dla Świętochowskiego, co w *Muzeum Sztuki Europejskiej*, w którym zamknąłem wrażenia swoje ze sztuki kształtów, barw i z życia sztukmistrzów, z rozwoju ich szkół i artystycznych skłonności narodów, które i artystów i kierunki z siebie wydawały. Do poprawienia miałbym tam zbytne wyniesienie Rafaela, do egoistycznego przywiązania — związła teorię piękna i poezji w nierozdzielnej wspólności. Ale nie są to rzeczy nadające się do przedruków, przytoczeń, streszczeń. Tak więc, naprawdę, szczerze — nie skuszony wielką życzliwością i dobrocią Kochanego Pana, z całą przedmiotowością obowiązującą starość, niczego wskazać nie mogę, coby m stosownem widział do rozpowszechnienia — i nie bez żalu dostrzegam, że dziecię zrodzone z przyjaźni Pańskiej dla mnie będzie musiało doznać losu owego *infans sanguine lentus*, którego Kochany Pan znasz z Justyniana.

Jedno jeszcze wyjaśnienie, po tylu już nużących.

Byłem obrońcą Komuny w r. 1871 i moje owoczesne wystąpienie, całe długie pasmo artykułów codziennych było niejako unikatem, w warunkach cenzury zadziwiającym, w dziejach też współczesnej publicystyki polskiej momentem zaciekawieniem wzbudzającym. W Komunie widziałem: 1<sup>o</sup>) reakcję przeciwko absolutyzmowi Napoleona III, którego całem sercem, od przeczytania Mirecourta i *Châtiments* nienawidziłem, 2<sup>o</sup>) republikańizm po prawa swe sięgający, 3<sup>o</sup>) żądę dalszej walki i protest zbrojny przeciwko uchwale bordoskiej z dn. 8 marca. Nie widziałem całej prawdy przy mętności doniesień i wielkiej ich niedostateczności, dopiero doniesienia z Londynu (z końca marca lub początku kwietnia) zaczęły mi otwierać oczy. W końcu kwietnia widziałem już, według siebie, dobrze, a zwalenie kolumny Vendôme (dn. 7 maja, jeśli się nie mylę, — może jeden z dwu dni stycznych) pokazało beznarodowość, apolityczność, cały uniwersalizm a w nim i bezkształtność pojęć i dążności, które nigdy mojemi, sercem mojemi stać się nie mogły.



Ale też z drugiej strony nie zamykałem oczu na okrucieństwo, na ohydę czynów wersalczyków i wkraczanie ich do Paryża, zdobywanie miasta, orgje karabinu po ulicach piętnowałem z siłą, w granicach siły, jaką miałem w piórze pod działaniem szczerego człowieczeństwa broniącego gniewu.

I w początkowej i w późniejszej fazie doznałem niesłychanej pobłażliwości od cenzury. Zdziwiła ona czytelników, wówczas licznych, ale więcej jeszcze Szymanowskiego i jego sztab, a kolegów moich. Takie nadzwyczajne warunki zawdzięczaliśmy wówczas nadzwyczajnemu też cenzorowi. Był nim baron Hahn, Niemiec, bardzo gładki, wykształcony, a przytem jako baron — zbankrutowany, jako człowiek — schorzały, wędzący już (jakoż uwiądl wkrótce), wreszcie jako urzędnik — opłacany, i to hojnie, przez wydawców. Przysłano go do Warszawy z Odesy i szczęśliwie oddano mu właśnie „Kurjer” pod opiekę. W kilka miesięcy po pierwszych moich przeglądach w lipcu 1871, mieliśmy już Komitet Cenzury rosyjski i osławionego Fuchsa <sup>7)</sup>). Ja się przemknąłem między nim a Hahn'em.

Na dziś przerywam. Pojutrze więcej, ale już niewiele.

Jutro żądane odbicie; za żądanie ich, za chęć posiadania wdzięczny.

Ściskam dłoń Dobrego Człowieka.

*Stanisław Krzemiński.*

*W., dn. 20 grudnia 1908 r.*

#### 4. Drog i Panie!

„Jutro” opóźniło się o całe dni dziesięć, coś około tego. Dopiero dziś, 30 grudnia dokańczam. Będzie już niewiele.

Wśród cmentarnego loskotu, w grobie chciałem żyć, żyłem, roztwierałem oczy, chciałem żyć w sobie, snuć dalej pasmo samowiedzy, przeciągać życie wewnętrzne poza grom, który zewnętrzne zdruzgotał. Potrzebowałem w samym sobie ciszy, aby się zrównoważyć. Skierowałem umysł na rzeczy wieczyste w zmiennych. Z mocnem postanowieniem nie opuszczania kraju, które zresztą było naszym obowiązkiem, wzajemnie względem siebie przed 9 września zaciągniętym, usposobiałem się do nowego życia. Pożegnałem dawne, pożegnałem młodość i jej miłosne zachwyty już nie powszechne, ale jednostkowe. Pożegnałem i wierszowanie; ono samo odemnie uciekło. Próbowałem dokończyć rozpoczętego w maju 1863 r. lub na samym początku czerwca poematu, obrazującego walki duszy porwanej w wir powstania, jako wielkiego aktu dla całej

<sup>7)</sup> Fuchs Wiktor Jakowlewicz. 1829—1891, od 1871 pierwszy przewodniczący Warsz. Komitetu Cenzury.

ludzkości, a nie dla Polski tylko samej. Nie szło — bo nie mogło być już natchnienia, gdzie było przerażenie, gdzie serce drętwiało. Początek tego dochował się. Po śmierci mojej ogłoszonym będzie; mam na to słowo człowieka, któremu bezwzględnie wierzę. Poznasz tam kiedyś, Drogi Panie, niezadługo — porywy demokracji polskiej i ogólnie europejskiej z okresu popowstaniowego 1831—48; poznasz szarpanie się duszy opętanej ideą, co wrosła i boli, i uszczęśliwia bólem. To niepowodzenie skierowało mnie na poznawanie. Czytałem dużo, co mieć było można w tych czasach, kiedy strach wymiatał z pobojowiska najdrobniejsze ślady. Zamilowanie w starożytności zwróciło mnie ku filozofii stoickiej, wtłaczającej w bierność, do której skłonniejszą była moja dusza przyglądająca się tylko zjawiskom, moja natura więcej do bierności niż do oporu i czynu skłonna, ale zarazem darzącej spokojem i szerzącej, ustalającej kamienną w człowieku równowagę. Ale daremne były wysiłki: znieczulić się nie zdołałem, a to wycie ustawiczne ciemnych potęg z zewnątrz nie dało zasnąć uczuciu, mocniejszemu nad wszystko. Napróżno wziąłem przed się Cycerona *De officiis*, aby je tłómaczyć: przełożyłem półtorej księgi: cisza nie przychodziła. Samobójstwo Eugenjusza Dunina (Nowy Świat, nr. 23 lub 21, mały domek), kolegi z Heidelberga, zaplątanego w śledztwo, poruszyło mnie do żywego, wyprowadziło między żywych <sup>8)</sup>....

Wprowadziło, bo z wyjątkiem rodziny, w której na prośby matki co drugi dzień bywać musiałem, aby istnienie swoje na wolności stwierdzić, nikogo u siebie nie widywałem z dawnych stosunków. Bywałem jeszcze u brata, również o mnie niespokojnego. Z ludzi nowych zachodził do mnie Traugutt, co kilka dni, co tydzień, później rzadziej. Odwiedziny jego miały charakter urzędowy: przychodził do mnie jako zwierzchnik. Byłem bowiem od 30 września dyrektorem prasy, dostarczałem artykułów do *Niepodległości*. Artykuł o mowie tronowej z dn. 5 listopada 1863 r. (Nap. III.) uradziliśmy, co do zasad, wspólnie. Ja go napisałem; był wydrukowany w *Niepodległości*, którą bezpośrednio wcielał w druk Władysław Sabowski <sup>9)</sup>, wówczas na rogu Siennej i Zielnej. W rozmowach z Trauguttem buchała od niego gorąca, rozrzewniająca mistyka, w której Bóg, Polska, wiara w duszach ludzkich, konieczność zmartwychwstania politycznego i przeznaczenie świata wraz z tajemnicą odkupienia na krzyżu, wszystko spływało w jedno wielkie słońce, dziś chmurami za-

<sup>8)</sup> Dunin Eugenjusz, lat 26, ukończył instytut szlachecki, sekretarz w zarządzie dróg żelaznych Warsz. wied. bydgoskiej, referent w wydziale Województw lubelskiego i podlaskiego pod rozkazami Rafała Krajewskiego, który na śledztwie ujawnił tę jego rolę. Arch. akt. dawn. Aud. Pol. 1269.

<sup>9)</sup> Sabowski Władysław, powieściopisarz jako Wołody Skiba, 1837—1888, zbiegł zagranicę.

kryte, ale rzeczywiste, dla okazania swej mocy potrzebujące tylko czasu, tylko starcia się potęg wrogich między sobą. Nadzwyczajna pobożność tego Kościuszkowskiego, jeśli nie wyższego jeszcze uczuciowości, serca, życie ascetyczne, wyzbycie się wszelkiego egoizmu, gotowość pójścia na ofiarę, niejako rzucenie się już w stos ofiarny — nadawały indywidualności mistyka charakter jakby świętego. Nie pozwalał urok ten bijący na słuchacza, kazić tych białych lilij anielskich najbliższym nawet pyłkiem powątpiewania, krytyki, zastanowienia się rozumowego. I ja sam nie bardzo wtedy byłem zdolny do rozumowań, i jakaś trwoga we mnie, aby mu mistycznego zachwyty nie odebrać, szczęścia wiary, jedynej niteczki łączącej z życiem — zamykała mi usta. Słuchałem i wielbiłem, — miałem jakby jasne widzenie w jaskini. Słowo moje, ani niczyje, nieby nie zmieniło ani w losie wielkiego serca, ani w kolejach i nieuchronnym przeznaczeniu tych sił zbrojnych, które jeszcze z Bosakiem szczęśliwie trwały przez zimę w Sandomierskiem i zimę przetrwały. Nie zapomnę — czas przyszedł jest dla mnie punktem — nie zapomniałem tych odwiedzin po rozciągnięciu się życia w linję, tak już dla mnie nieskończenie długą. Na takie postacie patrzeć trzeba nie jak na polityków oczyma polityka, ale jak na człowieczeństwo do najwyższej potęgi podniesione oczyma człowieka. Takich postaci nie zna Europa, bo też nie zna naszej męki, naszego pędu do Boga, jako twórcy, wodza, patrona i wybawiciela i odkupiciela narodów, — i naszej straszliwej za każdym zapędem tragedji. Był Traugutt może ostatnim poetą czynu Polski okresu romantycznego. Dziwi mnie, że prócz Dubieckiego, który był jego wiernym, poświęconym, przeznaczonym towarzyszem, z tylu ludzi, którzy się często z nim stykali, żaden nie pozostawił głębiej sięgających wspomnień o tej nadzwyczajnej postaci, o jej charakterze i sercu i o tej sile, która wewnątrz tej postaci utrzymywała w idealnym ruchu. W tej czarnej pieczarze, jaką była ówczesna Warszawa (1863/4), taka światłość skoncentrowana w jednej osobie była jakby nadziemskim zjawiskiem. Nie uwierzysz, Drogi Panie, jak ta twarz nieładna, ospowata (słabo), nie uderzająca wcale rysami, piękniała w ogniu tej mistyki, która była religją nie tylko Polaka, ale i człowieka. Stąd takie wrażenie i takie zapamiętanie i pragnienie też, aby kiedyś jaki artysta słowa, szczery poeta, na historykuposzukiwaczu prawdy zaszczerpiony, mógł znaleźć dość tworzywa do odтворzenia tej postaci poza obrębem polityki, ze stanowiska interesu politycznego ujmowanej i pojmowanej, taką częścią wzbudzającej.

Miałem innego jeszcze, codziennego już gościa, w cichym swoim mieszkaniu, w sąsiedztwie bardzo głośnego cyrkulu X, drugi dom od rogu Wareckiej, zdaje mi się nr. 1251 hyp., 55 polic. na N.-Świecie. Był nim mój sługa, przyjaciel, wybawca *S e b a s t j a n S k a r b e k* (Niechżeż go Pan zapamięta, a jeśli będzie wola po temu czysta, z przekonaniem

i dążeniami nie sprzeczna), niech Pan o grobie jego pamięta, jeśli mi los da pożyć jeszcze lat parę, a okoliczności pozwolą zapewnić szczątkom jego posiadłość wieczystą i trwałą, trwalszy od obecnego nagrobek. Był to stróż domu ordynacji Zamoyskich przy Placu Bankowym, gdzie wraz z Majkowskim, później Awejdą i jego bratem znacznie młodszym „Jurkiem” (Jarosławem) zajmowałem mieszkanie, to samo, w którym od lat już wielu mieści się Tadeusz Korzon z rodziną. Wzięty do posługi, wysłużył sobie rychło przywiązanie nas wszystkich, i odwzajemniał je zupełnem poświęceniem, powagą i uzdolnieniem się i skwapliwością do usług innych, wyższych, z działalnością organizacji związanych. On był pod koniec 1862 r. i w początku następnego woźnym zebrzań tłumnych nieraz, które się we wspólnem mieszkaniu odbywały: był też na walnem zebraniu dn. 18 stycznia, które ostatecznie zadecydowało o powstaniu. Trudno sobie wyobrazić gorętszą duszę chłopca polskiego, jaśniejszą, bystrzejszą przezorność, odwagę jako stały, organiczny dar, umiejętność wydobywania się z matni, a przytem wiarę w przyszłość, w Boga, który ją da, i ustawiczność tego rwania się do niej. Takim był mój przyjaciel a nazwałem go wybawcą, bo rzeczywiście jemu, jego zuchwałej, uporczywej, przeczącej postawie zawdzięczam uwolnienie po aresztowaniu d. 2 kwietnia 1863 r., więcej niż własnym swym zaprzeczeniem. Pisałem o tym chłopie — mieszczaninie polskim, prawdziwie już nie świętokradzko świętej pamięci we wspomnieniu o Janie Majkowskim do *Słowa Polskiego* Lwowskiego na 22 stycznia 1906 r., posłałem synowi jego, Stanisławowi Majkowskiemu do Lwowa. Nie wiem, co się z tem pisaniem stało, od syna żadnej nie otrzymałem wiadomości. Prawdopodobnie poszło do kosza<sup>10)</sup>. Skarbek mój, drogi Sobek, który żył stale pod hasłem *od se*, nie *kse*, stąd imię go krzywdziło — urodził się w Mrzyglodzie Krakowskim, za Częstochową w r. 1838, na rok przedemną, zmarł w Warszawie d. 28 lutego 1892 r. Wkopałem mu krzyż z tablicą, określającą jakość człowieka — wszystko, na com się mógł zdobyć, a on powinien mieć pomnik wspaniały — wspanialszy od Potockich, Czartoryskich i Epsteinów (z tych Mikołaj był pięknym wyjątkiem). Wdowa, staruszka w 83-im r. ż. mieszka na Pivnej, 43—II p. Była od niego starszą. Utrzymuję z nią ciągly stosunek — i rodzina moja.

Od ludzi do siebie. W prasie niewiele robiłem. Warunki były coraz cięższe, wysiłki coraz daremniejsze. Nie wiem, czy jaki numer *Niepo-*

<sup>10)</sup> Wydrukowano we Lwowie w r. 1909 jako przedmowa do *Pamiętnika Jana Majkowskiego*. Krzemiński aresztowany z 2 na 3 kwietnia 1863 i posłany do Cytadeli, badany był 14 kwietnia. 16 kwietnia zeznawał lokaj Sebastian, którego zeznania potwierdziły zeznania aresztowanego. 23 kw. 1863 został Krzemiński uwolniony dla braku dowodów obciążających. Kom. Śl. 2005. Arch. Akt. dawnych.

*dległości* wyszedł w r. 1864; zdaje mi się, że ostatni przypadek jeszcze na czas mojego urzędowania. Brakło mi pomysowości, inicjatywy, energii — bo brakło wiary, a działalność umysłu tłoczyło cierpienie z żalu, z wyrzutu, z przeciwności, z poczucia zupełnej niemocy i niemożności, tłoczyła niewiara w dalsze narazie usiłowania. Nie byłem przytem jeszcze człowiekiem od pióra, pisałem dla siebie. Sabowski miał temperament dziennikarza, rozpęd pisarski i mniej zawał w subiektywnej uczuciowości. Uradziliśmy z Trauguttem, aby na niego zdać i dyrektorstwo i redakcję organu półurzędowego. Zdanie służby, papierów, artykułów dokonało się 8 grudnia, w święto. Każda niedziela i dzień świąteczny były dniami łapań ulicznych. Każdy młody był podejrzanym, zwłaszcza idący sam jeden a krokiem szybszym: ze spodniami w cholewach mógł być prawie pewnym, że go zaaresztują. W przejściu z N. Świata, Warecką, Przeskokiem, Żółtą i Zielną na Sienną w oczach moich aresztowano pięciu ludzi — ja z kancelarją moją przeszedłem bezpiecznie i nie gniewałem się o to wcale na los. Zdałem służbę Sabowskiemu w jego mieszkaniu — i wróciłem do domu również nietknięty. Może mnie obroniła moja mizerność i spodnie normalne. To czy owo — dobrze się stało. Nawet w zaślubinach ze śmiercią zawsze smaczne jest życie — młode życie, jakim wówczas było moje. Co się potem działo w wydziale prasy — nie wiem. Sabowski odpychał pewną brawurą. Traugutt nie przestał u mnie bywać, coraz rzadziej wszakże. Po N. R. już go u siebie nie widziałem.

Tak doczekałem lata 1864 r. Brat mój wyjechał na letnie mieszkanie do Mokotowa; ja sprowadziłem się do niego. Marniałem, z rozmiękną wolą, trwający raczej niż żyjący, bez zamiarów, bez rzutów przed siebie, z długim tylko cieniem za sobą, błądzący jak po Elizejskich polach. Pogodę wrodzoną, której refleksyjność natury raczej sprzyjała niż nieprzyjazną była, zaczęła spędzać melancholjā, rosnąca od wrażeń z poza kręgu Ojczyzny. Życzliwym mi był bardzo Aleksander Krajewski, Syberyjczyk, rzeczywisty autor elementarza dla ludu, wydane go przez T-wo Rolnicze w *Rocznikach Gospodarstwa* i przez nie częściowo dalej działający, człowiek bardzo czytany, jasny, trzeźwy, równy, prawie zupełnie z sobkostwa wyzwolony, patrijota. Poznałem go u Ilnickich (dom Marji Ilnickiej, redaktorki późn. „*Bluszczu*” — i dom i rzeczywisty salon, stokroć poważniejszy od salonów warszawskich doby późniejszej, która sięgnęła w Pańskie młocdociane lata). Razu pewnego przyszedł on do mnie, wziął mnie za rękę, spojrzal w oczy, przemówił szczerze, ciepło, wystawił zgubność oderwania się od życia, od widoków przyszłości osobistej, przemówił tak skutecznie, że m pocziwej rady jego nie odtrącił i gdy mi doradzał Szkołę Główną, mianowicie wydział prawny i zawód potem prawniczy, postanowiłem wejść do szkoły i zaraz

też zająłem się przygotowaniem. Zdawało mi się, że moje studja heidelberskie dadzą mi tytuł do wstąpienia odrazu na kurs II; mniemanie potwierdził Józefowicz, późniejszy, bardzo zdolny, przedwcześnie na chorobę mózgu zmarły, docent narodowej instytucji. Przez niego uzyskałem świadectwa od uniwersytetu badenkiego i we wrześniu przyjęty zostałem do Szkoły. Na studenta byłem już za stary, ale się uczył dobrze, nawet obrabiałem kursa prawa cywilnego, prawa międzynarodowego, nawet puszczałem się na własne komentarze idealistyczne, dalekie od punktu wyjścia prawa w rzeczywistości. Prawo u mnie tkwiło w prawidłowości tego porządku, który z Boga wpływa w zbiorowego człowieka. Dla Pothiera za obligacje miałem uwielbienie. Egzamen w 1867 r. zdałem. Chodziło o rozprawę, tej nie napisałem<sup>11)</sup>. Już przed egzaminem zniesiono Radę stanu (w maju); wiedziałem, jakie to będzie miało dalsze skutki, zwłaszcza po ustanowieniu od nowego roku administracji rosyjskiej. Przewidując zniesienie odrębności, narzucenie porządków centralnych; wyrzekłem się zawodu; ale postąpiłem nielogicznie, boć jeżeli egzamen miał być tylko progiem do adwokatury, to z jej ustąpieniem z przed oczu sam tracił wszelką rację podtrzymującą jego złożenie, a raczej potrzebę złożenia, a jeżeli już raz złożonym został, to należało z niego skorzystać dla kwalifikacji naukowej.

Byłem tak zmęczony pracą, że wyjazd na wieś, na spokojny, prawidłowy pobyt, dla poratowania samego zdrowia stał się potrzebą, pragnieniem, prawie koniecznością. Wyjechałem tedy do Wronowa w Lubelskiem, niedaleko od Opolu n. Wisłą, w sąsiedztwie Chodla, gdzie była parafia dla Wronowa, tego samego Chodla, w którym proboszczował po r. 1840 Ściegienny, a wieś mojego nauczycielstwa była znowu tą samą, w której Sierawski w r. 1831 przegrał bitwę. Dom, w którym znalazłem i nie głabów i nie groszorbów, a wiele podatności w dzieciach i uznania w starszych, był wreszcie tym samym, w którym w 3 lata później został nauczycielem domowym Piotr Chmielowski. Ja byłem

<sup>11)</sup> Akta personalne. Wydział Prawa Szkoły Głównej. Personalja uczniów Litera K. Archiwum oświecenia zawierają akta Stan. Krzemińskiego: 1) kopję metryki 17.I.1846, z podaniem daty urodzin Stanisława — 16. XII. 1839; 2) świadectwo ukończenia szkoły realnej w Warszawie 30. VI. 1856, w której się znajdował od r. 1852; 3) świadectwo odejścia z Uniwersytetu w Heidelbergu 15. X. 1864, stwierdzające, że imatrykułował się na prawie 20. X. 1860 i przebywał w Uniwersytecie do końca zim. semestru 1862/63; 4) podanie Stan. Krzemińskiego z 3. X. 1864 o przyjęcie go na wydział prawa i administracji Szk. Gł., z adnotacją, że został zapisany 10. X. 1864 na kurs II pod Nr. 87. — Tamże. akta wydziału prawa 1/3, vol. II, zawierają świadectwo z egzaminu ostatecznego na stopień magistra (oceny ze wszystkich przedmiotów: dostatecznie z odznaczeniem) z r. 1867, jednakże bez decyzji o ogólnej kwalifikacji, z powodów, które Krzemiński wyjaśnia w ustępie powyższym swego listu.

tylko rok, i to nie cały: mimo nader przyjaznych, miłych warunków, mimo literacko-artystycznej atmosfery było mi jakoś ciasno, niewygodnie, nie — u siebie. Przyjechałem na jesieni 1868 r. do Warszawy i zająłem się czytaniem, chciwem, bezładnem, i zbieraniem też książek — i znowu czytaniem. Wacław Szymanowski, którego znałem z r. 1860-1, wciągnął mnie do *Kurjera*, zrazu na prace doraźne, feljetonowe, później, gdy wybuchła wojna niemiecka, — na referenta politycznego. Jak ten referat prowadziłem podczas komuny, już Drogiemu Panu opowiedziałem: jak po wybuchu nowej wojny serbsko-tureckiej krótko powiem. Stałem po stronie Turków (1876), gdy Czernjajew stanął po stronie Bośniaków. Zbierając fakta pilnie, a wystawiając je gorąco, mogę to powiedzieć, że urabiać przynajmniej duży odłam opinii w Warszawie. Dopomagał mi dzielnie Głowacki (B. Prus) feljetonami, w których zamieszczał madrygały, rondo, triolety, krakowiaki, jak np. ten: „Wyszli z Alimpiczem (gen. serbski), powrócili z niczem”. Żaden z nas tedy nie był neo-słowianinem, byliśmy obaj jeszcze z pod starej chorągwi. Wacek (Szymanowski) zląkł się, upominał; ale obaj sprawcy brnęli dalej. Pogorszyło się jeszcze położenie, gdy Midhat zaczął przygotowywać konstytucję dla Turcji. Stosunki z cenzurą, mimo kunsztu w ujmowaniu Ryżowa, prezesa, zaostrzyły się wielce. Wreszcie w grudniu Redaktor główny, uniesiony gniewem, zawołał w sporze ze mną o granice dozwolone i granice wzbronione: „Pan gubisz *Kurjera!*!” — „Gubić go nie będę”. Na początku grudnia politykę w *Kurjerze* pisał już Gawalewicz, którego sam wprowadziłem na swe miejsce. Był on wtedy skromnym, pilnym, a potrzebował zarobku. Sprawa ta poruszyła nawet żandarmerję. Wacek z gniewu ochłonął, rozstaliśmy się dobrze. Później okazał mi się życzliwym, później jeszcze przyjacielem aż do śmierci.

Potem co jeszcze? Zawiedziona nadzieja, że nową organizację sądowną, w jej rozokoleniu funkcjonalnem i wpływie ujemnym na społeczeństwo, powściągną sądy dobrowolne, polubowne, potem próżne oczekiwania wojny ogólnej z wojny tureckiej 1877-8 r. Potem wiele dolegliwych wrażeń z wykluwającej się polityki pracy organicznej, polityki realnej, ostatecznie ugodowej. Potem praca nad statystyką — dla chleba, ale nie bez pożytku dla umysłu (do roku 1886). Potem opracowywanie tych rzeczy, których tytuły znajdują się w Bibliografji przy artykule Chrzanowskiego. W r. 1884 wejście do *Gaz. Warsz.*, do r. 1892. Tu miałem zadowolenie, że za wezwanie Poznańczyków do lepszego odporu Bismarck z urzędu kanclerskiego zabronił gazety w Państwie Niemieckiem na całe 2 lata. W r. 1893 zaczęła się moja praca w *Encyklopedji*, w r. 1894 ustała w *Bluszczu*, prowadzona od r. 1869, ustalona w następnym.

Oto są, Dobry Panie, przyjaźnie na starość moją — może i na mło-

dość — patrzący, grzechy mojego żywota. Niewiele ich już przybędzie. Chciałbym się dostać na jaką szczęśliwą gwiazdę, z którejby Ziemię widać było dobrze. Chciałbym na niej widzieć jaknajwięcej czystości i światła, bo to jedno tylko ma rzeczywistą wagę — jest podścieliskiem wszelkiego dobra, postępu, zdobyczy. Chciałbym kiedyś doczekać chwili, w której na ziemi ludzie, nurzający się w znikomości dzisiaj, żyć zaczną pod niebem nieskończoności i wiekuistością oddychać. Bo jak matkę rodzoną — tak kocha się ziemię i chce się ją widzieć przybytkiem duchów, a nie jaskinią zwierząt. Ale czy będzie kiedy taka ziemia, taka gwiazda szczęśliwa i taki wzrok, dający z niej widzenie rzeczy ziemskich? Egotyzm! Subiektywizm, czułościwość! Nie — tęsknota do życia za grobem. Od niej zaczęły się dzieje.

Śeiskam Pana serdecznie. Przy N. Roku życzenia

*St. Krzemiński.*

*Warsz. 30 - XII - 908 r.*

5.

*Warszawa, d. 11 stycznia 1909 r.*

Drogi, Dobry dla mnie Panie, tak Dobry!

Nareszcie staję przed Panem; prawo do napisania: „spieszę” utraciłem. Stało się to skutkiem i zajęć i wyjazdów na wieś i jakiegoś niedomagania, o którym chłop polski zwykł mawiać: „cały niemogę”. I ja też cały niemogłem, a jeśli zostawała jaka cząsteczka — zamało jej było, aby pierwszemu popędowi dać siłę, a sile — skutek. Stała się więc ostatecznie zwłoka, za którą przepraszam. Czynię zadość żądaniu, ale nie daję tego, czego się Kochany Pan mógł spodziewać: procesu od „Przeglądu prasy perjodycznej” w *Kłosach* do przeglądów politycznych w *Prawdzie* — całe lat dwadzieścia (1872—1892), ani też od osobistości czy indywidualności, którąby sobie Kochany Pan mógł w wyobraźni wywołać w *terminus a quo*, do indywidualności w linii widzenia ukazującej się w *terminus ad quem*. Zbliżenie się moje do nowych ludzi może być psychologicznie ciekawem, ale nie tknęło wcale przekonań, tego, co było w nich więcej odczuwanem niż wyrozumowanem jądrem. Nie może więc tu w rozważaniu dzisiajsem być procesu; jest tylko zetknięcie się, wywołane, jeśli mi tak powiedzieć wolno, zewnętrzną mechaniczną dynamiką okoliczności i pobudkami życia obu nas obejmującego. Nie my ciężyliśmy ku sobie, ale siła ciężenia obu nas porwała, każdego z osobna i jednym o drugiego uderzyła. Stało się to w r. 1887 z inicjatywy Karłowicza, mojego kolegi z Heidelberga. Nastawała wówczas pora, w której umysły spokojne, w naukę nawet uwikłane, obwinięte w bawelnę „od ludzkiego jęku”, zaczęły myśleć, że trzeba coś robić.



Karłowicz powziął myśl zbierania się i rozmawiania o rzeczach publicznych, z myślą dalszą, że z rozmów wywiązać się będzie musiała jakaś choćby tylko piórowa, ale dla urabiania opinii potrzebna praca. O tym uczonego zamyśle, o tej bądźco bądź uczuciowej imprezie rozmowca mało kto wie; nie wie „książka zbiorowa”, chociaż chyba wspomnienie tego drgnienia duszy polskiej w mózgu lingwisty i folklorysty nie uwłacza uczonemu. U Karłowicza tedy zetknąłem się poraz pierwszy w życiu w jednej komorze, w jednym powietrzu ze Świętochowskim. Było to w 3 lata po moim przeglądzie teatralnym *Niewinnych*, w którym, dając charakter sztuki, podałem też i charakterystykę autora. Nie była ona dla niego korzystną: obawiałem się przedmiotowego chłodu i zakarbowania winy. Nic z tego: doznałem normalnej uprzejmości towarzyskiej ze strony człowieka, którego subiektywizm poddać się musiał pod wyższy jakiś nakaz. Po wymienianych we wspólnym gronie myślach zetknęli się i ludzie, ale bez zazębiana się o siebie. Obcowanie ze sobą, chociaż z pobudek przedmiotowych, we mnie przytarło wrażenie, z „*Ogniska*” dla Jeża wyniesione: w nim musiała się zwolna dokonywać ta przemiana, ze stosunkiem do mnie ściśle związana, w której człowiek ten odczuł potrzebę stałej działalności piśmienniczo-patrjo-tycznej, sam ją podejmował i mnie w jej środku niejako umieścił. Nasze zebrania z początkiem 1888 r. ustały, a ściślej mówiąc odbywały się, odbywać się mogły bez mego uczestnictwa. Na jesieni 1888 r. otrzymałem od Świętochowskiego zaproszenie, aby się z nim zobaczyć. Szło o „*Dwadzieścia pięć lat*”, które widocznie on z Karłowiczem, a może i kim innym, jeszcze, za potrzebne uznał. Wysłuchawszy propozycji, przyjąłem ją i wtedy nanowo znalazłem się w gronie, ale już przetworzonym. Zaczęła się wspólna praca, wybieranie kontrybucji umysłowej od każdego, kto miał coś do dania z siebie innym. Nie wszystko szło do druku, nie ze wszystkiego miał być omlot na zboże. Pamiętam jak jeden z uczestników napisał pochwałę Chrystusa, on — żyd! Powstało z tej działalności kilkanaście broszur i aktów, całe maleńkie wydawnictwo „*Z domu niewoli*”. Były tam nazwiska, których-byś się Kochany Panie nie domyślił, ale te należą do ludzi je noszących, nie do mnie <sup>12)</sup>). Dopiero podczas tych nowych *colloquiów* zbliżyliśmy się osobiście ze Świętochowskim. Zacząłem bywać u niego, poznałem rodzinę, wszedłem w nią. W onym czasie nabył on Brzeziny. Z wielką szczerością zapraszał mnie do nich, z niemalą też przyjemnością ja korzystałem z zaprosin. Jego uczestnictwo w wspólnej pracy, widok kształtów nowych, występujących w człowieku dawnym, działały pobudzająco na moje pochylanie

<sup>12)</sup> p o r. Wład. Smoleński *Monteskjusz w Polsce wieku XVIII*. 1927, 16—18 więcej szczegółów o tej organizacji.

się ku niemu. I on też pochylił się ku mnie: odsłonił mi swe dzieciństwo, swe ciężkie moralnie stosunki u domowego ogniska, surowość ojca, wczesne wskutek niej oparcie się na sobie samym — silne odczucie swego ja, odporność wreszcie, która jako forma myślenia i czucia z punktu przeniosła się w przestrzeń, z domu w społeczeństwo. To mi dało punkt wyjścia do odszyfrowania genezy posłannictwa społecznego. Ujrzałem osobistość silną, w walce i do walki, ale i potężną też indywidualność, której młodość ubiegła bez radości, bez rozkoszy, bez zachwyków i uroków, i to mi odsłoniło pisarza-twórcę, jakim był, i wyjaśniać zaczęło, dlaczego nie był innym. Wykończenie *25 lat* zacieśniło węzły; zaproponował mi po sobie współpracownictwo w *Prawdzie* w polityce: przyjąłem. Nie omyliła mnie nadzieja: Świętochowski nawrócił się do spraw narodowych, do tego, co boli serce polskie i inne jeszcze, on, co zaczynał pazurami i złością zjadliwą, w jednym ze swych *liberum veto* powiedział, że największym dobrem świata jest człowiek dobry. Wtedy już odsłonił mi był swe wnętrze — w jedną przecudną noc księżycową w ogrodzie swych Brzezin, w wonnym powietrzu, gwoździków czarownej emanacji. Była to już przyjaźń. Niestety — trwała krótko, dla mnie zakrótko....

....W czasie przejściowym mój stosunek z *Prawdą* był dzięki Świętochowskiemu jaknajrzetelniejszy ze strony Redakcji. Wszakże niezgodne z mojemu umiłowaniem pewne mniemania i dążności już w r. 1905 pobudziły mnie do usunięcia się, a zamiar, podówczas na wyraźną prośbę Świętochowskiego zaniechany, ostatecznie urzeczywistnił się w końcu maja 1906 r. Podjazdy na Macierz zerwanie uczyniły bezprowrotnem, pomimo nowych propozycji. Dziś stosunki z człowiekiem są, ale utraciły swą organiczność. Wielkim zawodem był dla mnie „Orzeł Biały” w Filharmonji, wulkan wybuchający lodem. Przez cały czas pracy w *Prawdzie* od redaktora jej nie doznałem najmniejszej przykrości i owszem zostawił mi swobodę, nawet z ujmą swych własnych dążeń i mniemań—przekonań. Z jego strony działała prawda.

U Łaguny bywałem rzadko, choć pod jednym dachem. Przeszłości nie tykałyśmy nigdy. Ja przychodziłem do wielkiej głowy po światło, gdzieś z jakiejś głębi wytryskające. Była to jaskinia światła, a przy całej powadze i krystaliczności wiedzy — wielka zdolność do improwizacji rozumowych. Ten człowiek rozumiał wszystko, rozumem wszystko przejmował. Nie zapomnę wykładu stylu w architekturze z powodu kościoła WW. Świętych na Grzybowie, który rósł pod naszym okiem, a innym razem znowu o dramacie i o opętaniach w tragedji. Ogromny mózg, od wielkich promieni i wielkich luków, a zostawił po sobie prace drobnowidzowe, jakby je nazwać można, bardzo głębokie, szacowne, trwałe, ale z kilofem w rękę wykuwane, kiedy natura przeznaczyła go do śmiałych polotów, odważnych wypraw, bogatych zdobyczy i łupów

syntetycznych. Nie ganię go, jego dróg — nie posądzaj mnie, Kochany Pan, o takie mizeraństwo; mówię tylko, co się we mnie z jego postaci odbiło. Prawością swego rozumu imponował. Bo i rozum może być nieprawym-bękartem. Mnóstwo ich jest w nauce, w uniwersytetach, na katedrach i w książkach. Ktoby je zliczył w Niemczech, w Prusiech zwłaszcza. Łaguna był prawym.

Wielka tylko zacność i dobroć nasunąć mogła, szanując starość, to zdanie, że przekonania w stosunkach ludzkich zostawać powinny na uboczu. Za uwydatnienie stosunku przedewszystkiem uczuciowego z głębi serca dziękuję. Był on już z mojej strony oddawna, od bardzo dawna, jeżeli to „bardzo” jest na miejscu, gdy się mówi o człowieku tak jeszcze młodym, taką jeszcze daleką drogę przed sobą mającym i wybierającym zawsze drogę kochaną, jako dobrą. Szczerłość lotu przywiązała mnie do Pana i rozłożystość skrzydeł. Ja dziś już żyję *sub specie aeternitatis* i nikomu nie pochlebiam, ale tylko rzeczywistości doznanej kształt daję. Ściskam Pana.

Do P. Stempowskiego napiszę sam, bo należy mu się to już od lat dwóch, od spotkania obojga Państwa w Warszawie. Proszę o jego adres po formie, jak zwykle do Redakcji. Jeszcze raz ściskam Pana i za uczucie dziękuję. Zwierzenia dokonane, bezpowrotnie już dokonane, mówią mi, że już utracił dziewięć dziesiątych ze skarba pod strażą milczenia trzymanego. Czas napisać testament. Czy mnie śmierć nie ubiegnie? Cokolwiek wejdzie na papier, znajdzie się w Rapperswilu; tam już chyba bracia neosłowianie nie zajrzą. A brat neosłowianin, syn rzeźnika z warszawskiej Pragi, daje już ponoć drapaka z tego przyszłego raję. Żyjmy i czujmy!

Oddany Kochanemu Panu

*St. Krzemiński.*

P. S. Proszę o pokwitowanie z odbioru.

## 6. Kochany Panie!

Dawszy już tyle nie mogę odmówić i tego, czego Kochany Pan żądaś odemnie w ostatnim liście: ale naprawdę, czy po Krausharze, po wyd. filol. hist. i medycznym, już opracowanych (w *Fontes et Com.*) nie jest z mej strony niejako bezprawiem wkraczanie na grunt wspomnień dla zebrania z niego faktów, których jedynie tylko Kochany Pan pożądać możesz? Z faktów też niewiele zostało, któreby już wiadomości nie były: chyba trochę z życia akademickiego, które ograniczało się na stosunkach osobistych i zbijaniu się według nich w pewne grupy, bez wyraźnego, bez zaznaczonego choćby wyodrębnienia się ideowego lub naukowego różniczkowania się w dążeniu do wiedzy, w usilności

pracy. Zbliżały do siebie ludzi nie przekonania na daleką przyszłość żywione, nie wrażenia z rzeczywistości teraźniejszej, bo te były wszystkim wspólne, a dotkliwe, dla głębszych natur bolesne, nie lgnienie do światła dla światła, lub dla rubla lub dla bezkłopotliwej przyszłości, ale wybuchające z jednego osobnika w drugi sympatje osobiste. Obozów zgoła nie było, ale były ,oczywiście, odmienne przekonania społeczne, polityczne i religijno-filozoficzne, tylko zorganizować się, a choćby tylko zbić się w kupę nie mogły według swej różnorodnej treści. Nie bywało też i dysput w audytorjach na tematy ogólniejsze, poza zadania szkoły sięgające. Z przyjemnością to wspominam, że wogóle słuchano nie tylko przyzwoicie, zbierano się licznie, ale objawiano zbiorowe nawet zajęcie się nauką, kursem danym, przedmiotem wykładu bieżącego i nawet sprawami niejako syntetycznymi wykładanej dyscypliny. Próźniaków lekceważących katedrę i samych siebie, było może paru, ale nie myśl Pan, aby to była złota młodzież, a choćby pozłacana, ze szlachty, z synów szlacheckich. Owszem, ci materialnie niezależni, w środki obfitujący szlachcice sandomierscy, jak Russoccy, Skotnicki, Rechlewski z Sandomierskiego, albo Newelscy z Litwy — uczyli się pilnie w słuchalni, a po mieście nie bumbłowali. Może byłoby inaczej w normalnej korelacji rządu ze społeczeństwem, ale w owych czasach, kiedy naród trzymano pod ciśnieniem wielu atmosfer, tłoczających wszystkich i wszystko, kiedy z wnętrza samego człowieka na jego dziką naturę wyskakiwały trwogi, żale i upomnienia — musiało być lepiej niż bywa normalnie, zwłaszcza w młodzieży polskiej, spokojnej o materialne jutro i spokojem tym właśnie zazwyczaj rozpasywanej. Z Russoczkami, Zdzisławem i Bolesławem i ich stryjecznym Maksymilianem, żyłem nawet bliżej, zbliżony do nich przez Marczewskiego, pociotka P. Ilnickiej, zostającej w bliskiej znajomości z mą matką, a późniejszej redaktorki „*Bluszczu*”. Z bliższych miałem jeszcze Edwarda Awejdę, brata nieszczęsnego Oskara, — miałem Kobosa, Brzóske, Dzieszuka — ci znowu byli wszyscy bez materialnego jutra, ciężko pracowali korepetycjami, których nie było nadmiaru, i jak w tamtych możnaby się dopatrzeć prawicy, tak ci mieli znowu w umysłowym swem upostaciowaniu wygląd lewicowy: rzecz to odwieczna, że biedakowi bliżej do światoburstwa niż dostatniemu. Najgłębszy z nich był Kobos, milezący, zamknięty w sobie, dużo widzący, mało mówiący, przeciętny wiek kursu latami swemi przewyższający, a przytem straszliwie chudy, słabowity, na twarzy brązowy. Zmarnował się na jakiejsz posiadzie, a szkoda. Był też ze szlachty kolegą moim Stanisław Ostrowski, późniejszy do śmierci prawie, kolejarz, był i Godlewski Miecz., ale mnie z nim bliższe stosunki nie łączyły. Z rdzennych już wówczas prawników przypominam sobie bardzo żywego, zdolnego Leona Krysińskiego i Rodzyna, antytezy z usposobienia.

Obaj dobrze pracowali. Żyłem z Krysińskim i z Józefowiczem Michałem bliżej, bywałem u nich, ale stosunek owijał się naokoło nauki przeważnie, jeśli nie wyłącznie. Z Kronenbergiem miewałem tylko rozprawy rzeczowe, o treści wykładów w audytorjum. Był on gorącym obrońcą samoistności ekonomji politycznej, jako wiedzy ścisłej, wyłącznie z badania rozumowego, z wyłącznego stanowiska rozumu wychodzącej: ja, przeciwnie, twierdziłem, że jest ona tylko pustą formą, w którą nalewają treść najpierw współczesność, w uczuciu i pojęciu swem powszechna, a przynajmniej panująca, a potem inne nauki i nieodłączne od nich dogmatyczne wierzenia w nieomylną prawdę. Można sobie wystawić jak te dwa bieguny miały się ku sobie. Naśladując perypatetyków ateńskich — przechadzaliśmy się tam i napowrót pomiędzy ławkami i katedrą i kłócili. Jak teraz, tak, i wówczas, już 43-2 lata temu — za główny czynnik postępu (t. zwanego) w ekonomji uważałem humanitaryzm (którego Mahrburg do *Encyklopedji* naszej w swoim czasie wprowadzić nawet nie pozwolił i poparty biernością innych sprawę wygrał), to przyspieszało kroki obu perypatetykom. Koledzy bliżsi słuchali, dalsi hałasowali w najlepsze. Sporowi kładło tamę zjawienie się profesora. Kronenberg żył bardzo przyjacielsko z Krysińskim i Józefowiczem. Był porządnym, prostym, bez pychy, bez paniczekostwa; było w nim ciepło młodości, było szczere dążenie do wiedzy, uczył się pilnie, z pomocą i przy współdziałaniu z najbliższymi sobie kolegami. Nosił na IV kursie mundur wytarty: nie znać było syna bankiera — i to jakiego jeszcze!

Mogę bez przesady powiedzieć, że atmosfera lekko-naukowa panowała w audytorjum, niepotrzebując czekać na zjawienie się profesora. Większość bardzo przeważna pisała kurs, mniej lub więcej dobrze, a w przerwach zajmowała się poprawkami, uzupełnianiem, wzajemnymi przysługami dydaktycznymi. W studjowaniu grupowano się tak jak w stosunkach towarzyskich według pewnego osobistego Ignienia. Było kilku opracowujących wykłady, pomiędzy in. Krysiński, Józefowicz, Russocki Maksymiljan, już starszy w moim mniejwięcej wieku i Julian Walewski (był i Teodor). Takie opracowania, poszukiwane przez kolegów, krążyły po audytorjach, udzielane do domów, wielką były pomocą. *Colloquii* profesorowie z nami nie miewali; nie pamiętam ustawy, abym mógł powiedzieć, czy było to winą osobistą obu stron, czy też koniecznością narzucone. Nie było też *repetitoriów*, każdy miał obowiązek bywać na wykładach i zyskiwać poświadczenia profesorów w książkach służbowych, i to już wystarczało. Egzamen ostateczny był łagodny, oczywiście, bez żakowskich już wybiegów; ciągniono pytania, nadto zadawał je profesor dowolnie. Złożenie rozprawy magisterskiej w ciągu roku łącznie z egzaminem dawało stopień bez uroczystych rozpraw *in aula*. Wiado-

mo już kochanemu Panu, że ja jestem jedynym z egzaminem dodatnim a kwalifikacją ujemną, bez magistrostwa.

Jeżeli chodzi o powagę, o swoistą godność instytucji naukowej, to miłe tylko obudziłeś Pan we mnie wspomnienia, i dojechawszy do tego punktu dopiero widzę, że winien Panu wdzięczność tam, gdzie zrazu poczułem niewdzięczny tylko ciężar. Niczego się tu nie ubarwia, nie zmyśla, dlatego że przeszłość, tak już popiołami przysypana, była i z treści i z formy swej polską — żeśmy u własnego ogniska, na własnych siedzieli ławach i własnym oddychali powietrzem. Na papier wchodzi tylko prawda.

Spostrzegam, że pominął Kraushara, a to wielka krzywda. Był on nie tylko pracowitym, wzorowo uczęszczającym, ale wielce się przyczyniał do ogólnego ruchu umysłowego w audytorjum, czytając książki, o których później mówił, lub których udzielał, poruszając sprawy nie tylko prawne konkretne, ale i ogólniejsze z nauki i literatury, a czyniąc to bez chępliwości, której zgoła między nami nie było, choć byli wyżsi i niżsi. Znać w nim było wczesny rozwój i wybitną już żyłkę literacką. Innych cech nie pamiętam.

Z profesorów najwyżej ceniliśmy Dutkiewicza i jako naukowca i jako człowieka. Wykładał on nam prawo hipoteczne, wykładał przy kodeksie cywilnym polskim (na przemianę z Holewińskim) i kodeks francuski. W obu przedmiotach znalazło się i prawo polskie. Wykład nadzwyczaj pewny, spokojny, ale akcentowany, niekiedy polemiczny, (z Maciej., Heylmanem, Burzyńskim) był umysłową dla niektórych biesiadą. Stał mocno na gruncie prawa pisanego, i tem grzeszył, że przesadzał, że życiu chciał wszelką większą odjąć inicjatywę: ale wówczas jeszcze się tego nie widziało, a poszanowanie litery prawa, doskonałość form, w jakie życie prawne zamykano, zwiększały cześć dla przeszłości. Nigdy dla niej nagany, ale nie rzadkie formułowanie przekonania naukowego prowadzące wprost do krytyki umysłowej z jednoczesnym westchnieniem serca: o czemuż nie stało się inaczej!... To co dzisiejszemu człowiekowi romantyzowaniem wydawać się może, było w ówczesnych ludziach tylko bezwiednie dźwięczącym za każdą podniętą patrijotyzmem polskim — dziś już nierozumianym, wypieranym przez socjologizm i humanitaryzm. Zmieniają się orbity planet, zmieniają i same słońca. My starzy tylko widzieć to możemy. Nie dostrzeżesz Pan, zapatrzony w jutrzeńki, w niewzruszoną oś pozytywną przechodzącą przez człowieka. Wydzierajcie nam ideały, ale zostawcie nam żale — i uszanujcie je. Konieczność pełnić się musi. Wszystko płynie...

Drugim był Holewiński, wyborny egzegeta prawa stanowionego i jego jurysprudencji, zobowiązania, stosunki między małżonkami wykładał znakomicie. Pozytywista ze szkoły francuskiej, w gąszczu filozo-

ficzne, w niezgłębione tonie genetyczne nie zapędzał się: brakło sięgnięcia do człowieka, do jego potrzeb — jak to dziś widzę, ale jak wówczas jeszcze nie widziałem; ale w zakresie samego prawa był zaokrąglony i pełny, w formie wykładu dialektyczny a jasny — doskonały. Wówczas jeszcze zdrów, więc silny.

Chwalibóg dawał procedury cywilnej. Umiał dużo i dobrze, ale w wykładzie się płątał, powracał i zawracał; zawsze jednak starał się powiedzieć wszystko, aby niczego do praktyki nie zbrakło. Zaskoczył go nakaz języka rosyjskiego, tu przed innymi dyscyplinami. Przypominam, że zrazu nie myślano czekać i odrazu miano nadzieję powalić i sprawiedliwość w tym kraju. Już tedy w r. 1867 był język państwowy w uczelni polskiej i z ustawy i z mięszsu i z sił. Umiał Chwalibóg po rosyjsku tyle, ile mu z uniwersytetu rosyjskiego zostać mogło: mówił podobno okropnie, jak mnie zapewniali znawcy. I rzeczywiście nie zdobywszy się na rosyjski wyraz oddający przykreść, wymienił *rz* na *r* i wypuścił z siebie ucieszny figlik: „Gaspada, mnie oczeń (to wiedział) prjikro.” Szczęściem nie było żadnego cerbera.

Miklaszewski, wraz z Białeckim (mój kolega heidelberski), ułożył sobie starannie, ale płytko (procedura karna, ze zwrotem ku przeszłości, zwłaszcza w przestępstwach mniejszych, policyjnych, cennym od czasów Bielińskiego<sup>13)</sup> kurs nadzwyczaj schematycznie urządzony, z powoływaniem się na powagi europejskie współczesne, z historją kary, więzienia i kata, i wykladał go donośnie, krewko, z materjalną mocą i dosadnością. W sądach przysięgłych (nauczających) szedł za swym profesorem Mittermeierem. (Pan kochany napisze dla *Encyklopedji*).

Białeckie przedmiotu nie miał, w 2 godzinach tygodniowo mało i powierzchownie wykladał. Imponował Mohlem, ale Mohl się do niego nie przyznawał. Wrażenie wyniosłem bardzo przykre, właśnie z powodu koleżeństwa, które tak wysoce we mnie uszanował, że nie zważając na pytanie, zostawił mi mówienie, o czem chcę. Wykladał prawo międzynarodowe. Programat, co prawda, miał z góry narzucony. Pewnych spraw i punktów tykać wcale nie mógł. O Polsce ani powiewu.

Okolski, zimny tak mniejwięcej na —25<sup>o</sup>, nazywany też przez Dutkiewicza „marmurkiem”, trzymał się Franza i jego nedorzeczej asymilacji państwa z rządem. Przypadało to jak wraz do systematu, który zzewnątrz już wycie swe szkole przysyłał. Prawo państwowe zmarnował; ale w administracyjnym przy wielkiej pilności nanizal mnóstwo faktów na sznury. Był jasny i spajający chwile i fakta prawne ze sobą styczne.

Kasznica, ultramontanin, rozwlekle roztaczał prawo kanoniczne.

<sup>13)</sup> Marszałka (zm. 1766 r.) (Dopisek Posnera).

O ustroju, przeszłości kościoła dał wyobrażenie dobre. Łatwa encyklopedia prawa szła z powodzeniem. W oku znać było, czuć było pedanta pod harap.

Wiele ognia w pandekta wlewał młody, ognisty, wyborny, jak na wiek młody łacinnik, a jak się okazało i grekul, Paweł Popiel, szlachcic sandomierski. Kochał swój przedmiot, nie zbywał go ogólnikami, miał dobry kurs, oczywiście nieoryginalny, ale należycie dobrany. Mnóstwem przysłówi i zasad w orzeczenia jakby wytyczne, w maksymy i reguły krystalizowanych, nie tylko utrzymywał główne linje i punkta wykładu, ale je uzupełniał. Z jego wykładu więcej skorzystałem, więcej mi w łepetynę weszło niż z Zielonackiego, któremu wszakże nie ublizam, bo dał i książkę porządną.

Początkującymi terminatorami byli Korzybski, Oczapowski (ekonomia polityczna, skarbowość). Stary sędzia kryminalny Franciszek Maciejowski, uczył nas instytucyj, które przy pandektach na wielu a wielu linjach stycznych były zbyt ciężkie i nieco utrudniały orjentację. Zbić je należało wraz z pandektami w jedną całość — wykładając według zasady rozwoju, a uzupełniając historję prawa publicznego, czyli państwa, — instytucyj państwowych Rzymu. Wykład z powodu starości był już mdły.

Czego wykłady Okęckiego dotyczyły? powiedzieć już nawet w tej chwili nie umiem. Może fala napłynie napowrót, ale jak na teraz, to odplynęła, aż wstyd. Dydyński przyszedł po Popielu. Szymanowskiego nie słuchałem nigdy, ani statystyki Załęskiego. Przedmioty wykładów wskaże Kraushar w swej książeczce<sup>14)</sup>.

I znowu po raz drugi, wszystko, które okazało się za pierwszym razem nie wszystkiem, ale teraz chyba już rzetelnie wszystkiem będzie. Żegnam kochanego Pana i prawdziwie zawstydzony staję przed Panem, jakby Apis, przynajmniej pół-Apisa, w tej połowie, która jest bez rogów. Oczywiście, z tych wszystkich materiałów, łaskawie, w życzliwości, może w przyjaźni, może w przyjaźni dla mnie — tego ostatniego pragnę, zbieranych, skorzystasz, Dobry Panie, po mojej śmierci — już niedługo, już tylko patrzeć. Cierpliwości zatem swojej nie wystawisz, Kochany Pan, na próbę cięższą od mojego wyczekiwania jedynej, rzetelnej eleutherji na tej ziemi.

Duchem z Panem!

*St. Krzemiński*

A adresu Stempowskiego nie otrzymałem... proszę.

P. S. Raczy mi kochany Pan donieść na karcie o otrzymaniu ni-

<sup>14)</sup> Bliższe szczegóły o wydziale prawa A. Kraushar *Siedmioletnie Szkoły Głównej Warszawskiej, 1862—9, 1883, 13 i n.*



niejszego. Coby z myśli o mnie ku mnie się nawiązało, proszę zawrzeć w osłonie.

St. K.

Warsz. d. 22 stycznia — dziś lat 46, a ja wciąż żyję.

### 7. Kochany Panie!

Swoją drogą *Encyklopedia* mnie wzięła, a swoją drogą trumna, w którą się już kładę; dlatego dopiero teraz odpowiadam. Więzieniem obdarzył mnie Langiewicz, którego dostałem w opracowaniu bardzo słabem, choć w chęciach najlepszych; trumna, stojąca już przedemną od kilku lat — od owej choroby, w której Kochany Pan okazałeś się dla mnie tak dobrym, — dopomniła się uporządkowania listów, od trzydziestu kilku lat składanych w skrzyni niepamięci. Obie te czynności spełniałem z pewną namiętnością, a gdy ta ku jednemu się skieruje, o wszelkiem innem się już nie pamięta, a pamiętając nawet w inną stronę odwrócić się już nie pozwala. Stała się więc zwłoka wielka, parotygodniowa, za którą przepraszam, aby wobec dobroci Pańskiej dla mnie nie być już bezwzględny przestępca.

Z p. Sawicką<sup>15)</sup> wcale się nie widziałem. Była ona wprawdzie dwukrotnie: raz z listem najpierwszym, drugi raz z żądaniem wskazówek co przepisać, ale ze mną samym ani się zobaczyła, ani listownie nie porozumiała. Przypuszczam, że pośpiech jedno jak drugie jej zatamował. Niema w tem wcale skargi, bo w sprawie, którą miała rozwiązać, nie było z mej strony żadnej pożądlivosti w kierunku żądania Pańskiego. Powiedziałem i powtarzam, że niczego nie uważam za godne utrwalenia, za nadające się nawet bez pewnej jakby nieprzyzwoitości do ujawnienia książkowego w chwili, w nastroju obecnym. Jeżeli osobiście, egotycznie miłem by mi było wyjęcie czego z tych rzeczy, które pisałem o sztuce i artystach, to nie znaczy, abym te właśnie rzeczy wskazywał do rozpowszechnienia. Zresztą, przypuszczając, że w tem, co Kochany Pan przygotowuje, ja wystąpię tylko w grupie zbiorowej, jako punkt na linji, a barwa w pryzmacie, nie widzę uzasadnionego powodu do przytoczeń literackich, mniej lub więcej obszernych. Cały mój pogląd na człowieka i horde ludzką, gnana egoizmem i głodem, wypowiedziałem, ale czysto dogmatycznie, w wydanych już *Zarysach*. Czytelnik niczego by się nowego nie dowiedział, a wchodzić w las moich przegładów teatralnych, których jest przeszło sto, niepodobna i nie warto: mogą tam być i są rzeczy syntetyczne, poruszające trzeciego (kodeks), ale niema rzeczy, którychby inni przedemną nie powiedzieli, i cała ich wartość jest taka, że daje się sprowadzić do charakterystycznych znamion dla mojej tylko

<sup>15)</sup> Sekretarka tygodnika *Ogniw*o.

indywidualności. Jest to moja własność, z własnego mojego odczuwania i przemyślenia wysnuwana: oto wszystko. Ludziom nie po tem, zwłaszcza dzisiejszym. Tytułu prawnego temu niegdyś poruszaniu ducha dziś absolutnie braknie. Sam Kochany Pan mógłby się spotkać z zarzutem dawania rzeczy niepotrzebnych, nikomu niepotrzebnych, a dla pisarza byłby on zawsze ciężkim. Zatem zostawmy w pokładach formacji węglowej te kształty, które się w niej odbiły z życia, co to we mnie, jak już we wstępie powiedziałem, roślinnem, biernem przeważnie było. Dziękuję Kochanemu Panu za serdeczność. Nie byłbym ani chrześcijaninem, ani człowiekiem o żywym wnętrzu, gdyby mnie ta serdeczność, z jaką Kochany Pan przystąpiłeś do mnie, nie wzruszała. Tu miejsce powtórzyć prośbę: po mojej śmierci — tak już blisko.

Jeżeli dobroć Pańska nie omdleje, to po zejściu mojem znajdzie dla siebie pożądane światelko, dopełniające zwierzenia, w tych listach moich do Pana, znajdzie *Pamiętniki* w Rapperswilu.

Pomyliłem się w imieniu Russockiego, jednego z R-ch: nie Zdzisław, ale Jan „z zajęczą wargą”, chłopak dobry, niby energiczny, ale właściwie tylko ruchliwy, kiedy się żenił (z panną Świda) w kilka lat po Szk. Głównej wystaw Pan sobie, przy ślubie zemdłał, a żenił się z miłości. Była tam wielka wążłość przy dużej czystości; ani groszorb, ani pyszałek. Pomiąłem między profesorami Józefowicza Franciszka, a zasługuje on na pamięć wychowawców Szkoły Głównej. Jeden z najlepszych, najbardziej naukowych umysłów i może najzdolniejszy ze wszystkich, ale choroba przytłoczyła mu moc uzewnętrzniania tego, co miał w swem wnętrzu, Było to jakby przekrwienie mózgu, zbyt szybki obrót kółek krwi, stąd spędzanie jednych myśli jeszcze nie dopowiedzianych przez drugie, które również niedopowiedzianemi być miały, ciągła niecierpliwość, gorączka, dążenie bezwiedne do rozstroju. Rozstrój też stał się jego losem straszliwym, oplakiwanym słusznie przez bliższych: zmarł w pomieszaniu zmysłów, jeszcze za istnienia Szkoły Głównej, której mógł być zaszczytem, gdyby nie ta jędza, która za nim w ślad biegła przez ostatnie lata życia. Wykładał nam kodeksowy wstęp (Introduction) i historję przejścia od prawa rzymskiego do francuskiego zwyczajowego, prawo państwowe królestwa Franków, parlamenty, ordonanse, prace i pracowników nad prawem, cały proces nowej, za rewolucji wszczętej, i dalej przez dyrektorjat i konsulat ciągnącej się kodyfikacji. Wszędzie była wiedza ścisła, wielkie zamilowanie przedmiotu i pogłębienie, ukazujące wszędzie istotę. Uczył się bardzo gorliwie w Paryżu, skąd przywiózł wiedzę rzeczywiście akademicką. Wyrok przeznaczenia strzaskał tę siłę, a człowieka milego mi i blizkiego. Był on starszym bratem Michała, także zdolnego, ale który już sam siebie zmarnował.

Nic więcej już Kochanemu Panu z siebie dać nie mogę, nie prócz

serdecznego uścisku i ten przykładam jako pieczęć na naszą korespondencję, i konfesjonał i łożę śmierci i trumnę przypominającą. Już ona ku mnie i przedtem ruszyła — i idzie.

Eh! A reszta — milczenie.

*Stanisław Krzemiński*

*War. d. 7. II. 1909 r.*

## 8. Drogi Panie!

Materia zorganizowana w moje jestestwo człowiecze drgnęła rozrzewaniem, kiedy czytałem w sobotę list przysłany mi przez Panię Józefę. Tyle dobroci, tyle światłości, tyle szczerego, człowieczego żaru tylko ze szlachetnej wyjąć mogło natury. Przedmiot działania dla mnie niknie, miejsce jego zajmuje działający podmiot i cieszy mnie, i niejako uzupełnia własnej młodości mojej wspomnieniem. Nad uczuciem wdzięczności, która musiałaby być zawsze reakcją konieczną zadowolonej miłości siebie, panuje uczucie zadowolenia z objawów człowieczeństwa tak prostych, czystych a podniosłych, że nie pamiętam jak dawno już w sobie brałem podobne, z temi sobotnimi porównać się dające. Nie omyliłem się już od pierwszego poznania, dosłuchując się w drogim Panu, tego zasadniczego tonu natur wyższych, który nietylko w ostatnim, ale i w poprzednich dźwięczy listach. Samo to pragnienie, abym ja 70-o letni, wszystko już zostawiwszy za sobą, wziął jeszcze coś przed siebie, coś, co było istotnie umiłowanym, ale podjąć się nie dającym celem, aby przed ostatniem tchnieniem wyszło ze mnie jeszcze z przeszłości milionów ku milionom przyszłym — samo to pragnienie już wystarcza mi do radości z człowieka, którą mnie, drogi Pan, nie dziś dopiero obdarzasz. Za tę chwilę rozpromienienia samowiedzy, zapadającej w głęboką noc od ciosów rzeczywistości, dusza moja pragnęłaby myśleć o dobrym i czystym (a to bodaj rzadszy nawet od dobroci przymiot) człowieku zanieść w bezmiar czasów, w harmonję światów, w potop gwiazd, w to wszystko i to nie, ku któremu zawsze się wydzieriała. Rozrzewniając mnie, jednocześnie mnie Pan podniosłeś, Kochany Przyjacielu. Pan pragniesz ucisnąć dłoń moją w Warszawie; ja też oblicza Pańskiego tutaj wyglądam, mieć je tu pragnę. Przy pomyślnem jednak rozwiązaniu przez los-mocarza zwłaszcza nademną kwestji mego wychylenia się tegorocznego za opłatki domu, kto wie, czy nie Kraków będzie miejscem mojej radości z ujżenia Kochanego Pana. Jeżeli *Encyklopedja*, tak biedna, że prawie żebraczka, przy lepszem opatrzeniu w środki do życia zwróci mi to, co mam u niej, a Natura, prowadząca własny swój rachunek z człowiekiem, z jego istnieniem, okaże się dla mnie względna, pobłażliwa, szczerą, to w czerwcu zawitam pod Wawel i uściskam Pana i wszystko dobro uściskiem — bo czemuż innem—odplączę. Ach, prawda

jest pomiędzy nami jeszcze stosunek, na którego zrównoważenie uściski nie wystarczą; ale i tu stan *Encyklopedji* majątkowy będzie rozstrzygającym. Z jaką rozkoszą spełniłbym obowiązek od tyłu, tyłu lat ciężący.

Na zakończenie wyjaśniam treść krótkiego listu do p. Józefy, owo *requiescant in pace*, jeżeli potrzebnem jest jeszcze wyjaśnienie po tem, com już dwukrotnie, zdaje się, napisał. Niech spoczywają w pokoju te trupy myśli moich! Człowiek uległ ogólnemu heraklitowemu prawu: wszystko płynie i przepływa, rzecz prosta; szło się naprzód, przez samego siebie, nawet tego nie czując; umysłowość moja dzisiejsza nie jest tą samą z dawniejszą, każdy moment był zwrotem, nie wypoczynkiem w ruchu. Tylko historycznie, dla historii możnaby coś z pod prawa wyjąć; już mówiłem co, ale na wyszukanie tego ja nie mam czasu. Jak ów Lubowski „żółty, chudy, wciąż kwaśny, o zjeżonych włosach, czasem pisze coś w *Bluszczu*, a czasem coś w *Kłosach*” —tak pisałem i ja: trzeba by to oboje przejrzeć i wypisać; ale na to raz jeszcze nie mam czasu. Tyle robót mam rozpoczętych, tyle obowiązków nie spełnionych a terminowych, że absolutnie szpileczki jednej w czas mój wetknąć już niepodobna, a obawiam się, czy do czerwca z wszystkim wydadzę, jeżeli nawet zorganizowana materia okaże się dość sprawną a starości mej przyjazną. Tu znowu staje przedemną zacność Pańska dla mnie, owo zakłęcie śmierci, aby się wstrzymała, owa nadzieja, że jeszcze dla kogokolwiek i ku czemukolwiek mogę być pomocnym jako *antesignanus*. Zajęty jestem bardzo i mam dziś jedną tylko o siebie modlitwę: woli i zdrowia do pracy.

Wielką miałem przyjemność, gdy w środę niespodziewanie ujrzałem w Redakcji Stempowskiego, a nazajutrz miałem go w swej izdebce nad Redakcją. Zdziwiło mnie to, że jedzie dla wydobrzenia, że nie czuje się zdrowym. Rzeczywiście postarzał, nad wiek swój postarzał. Miał jakieś znoje, jakieś przejścia, a warunki twarde w otoczeniu społecznem. Wspomnił też o dolegliwościach moralnych. Nie zmienił się, nie postarzał duchowo: natura szczerą wciąż i gorącą. Miałem z jego bytności poważny akt zachodzenia wzajemnego dusz na siebie. Żałuję, że po Florencji go nie zobaczę, bo, jak Kochany Pan wiesz, wraca na Podwołoczyska. Nie wiem, jak idzie rozwój jego chłopców. Niewątpliwie słowo Pańskie przyczyniło się do tej przyjemności, której z samego widzenia się jego doznałem. Wizerunek go doszedł i w wizerunku tym już mnie u siebie powiesił. Wyjątkowy we mnie humor skorzystał z wyrażenia dla tego żartu. Czy ja tego dobrego człowieka jeszcze kiedy zobaczę... Wszystko płynie!

Ściskam już Kochanego Pana i o myśl stateczną, wytrwałą, ciepłą proszę.

*Stanisław Krzemiński.*

*Warszawa, dn. 15 lutego 1909 r.*